

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK III. WARSZAWA, MARZEC 1929.

J. BŁECHMERT.

PRZYWRÓCENIE PAŃSTWA KOŚCIELNEGO.



Uroczysty akt podpisania układu w Pałacu Laterańskim w Rzymie.

POLSCY OBROŃCY PAŃSTWA KOŚCIELNEGO.

I.

Cudowna zorza nowej ery, która wstała nad wiecznym miastem, oblewając swoimi refleksami purpurę rzymską i italskie fascia, przywodzi nam na pamięć wojowników polskich o ojcowiznę Piotrową, ideowych wolontariuszy Papieża z drugiej połowy XIX-go stulecia, których sylwetki przedkładamy niniejszem czytelnikom „Rodziny“.

Najpierw — Paweł Popiel. Urodzony w r. 1807, w dobie Księstwa Warszawskiego, w starej kamienicy Krakowskiej, syn światłej i znakomitej matki, o której pisze w przesłanych pamiętnikach¹⁾, że od dzieciństwa „wykształcała (mu) sumienie przez poczucie prawdy i obowiązków“. Uczniem był Popiel, ta *anima naturaliter christiana*, nasamprzód Ojca Jana-Gwaiberta Leszczyńskiego, Dominikanina, któremu obszerniejsze wspomnienie poświęcimy w jednym z najbliższych numerów „Rodziny“. U niego, na ile wspomnianych przybytków chwały Pańskiej, które spłonąć miały w kilkadziesiąt lat później, w pożarze Krakowa roku 1850, a które Popiel, jako prezes komitetu odnowy kościoła dominikańskiego, miał dzwignąć ze zgliszczy — studjował mały Popiel u tego natchnionego następcy św. Tomasza prawdy wiary, a przytem — co osobliwie wzrusza piszącego te słowa — zaprawiał Pawełka zawczasu do przeciwstawiania się rządzącym się po Polsce, jak dziś, tak i wtedy, wolnomularzom.

— „Tej pladze — pisze Popiel — wydał wojnę zakon dominikański, a głównie Leszczyński ze swojej celi, bo do domów nie chodził: z pod białego kaptura wywarł wpływ znakomity. Zszeregował nasze matki, natchnął duchem Bożym, reakcję zbawienną wywołał w społeczeństwie miasta... Celował też u Dominikanów wielką nauką Mateusz Kozłowski, w gorliwości ks. Tomasz, którego też ówczesna policja Senatu Rzplitej Krakowskiej (niech to będzie miarą czasu!) skazywała niekiedy do więzienia za zbyt śmiałe powstawanie w kazaniach na masonów“.

Po egzortach Ojca Leszczyńskiego nastąpiły studia świeckie. Oto, co mówi Popiel o pokoleniu kolegów swoich szkolnych:

— „Czy to pokolenie kochało Ojczyznę? Mogę odpowiedzieć: nad wszystko. Wychowało się niemal wśród Napoleońskiej epopei; było obecne, jak zwłoki ks. Józefa i Kościuszki składano na Wawelu, nietylko patrzyło na powstający kopiec, ale któryż z nas... taczek na niego nie wysypał. Mickiewicza nie było, ale od lat niemowlęcych powtarzał każdy: „Święta miłości kochanej ojczyzny“, umieliśmy na pamięć śpiewy Niemcewicza, Kniaźnina, Góreckiego, a do najwyższego nastroju podniósł Hymn do Boga, Asarmot i Sybilla Woronicza“²⁾.

W szczególności młodość Popiela była nietylko górną, ale rzeźbiarką najbardziej kulturalnego umysłu. Pochodził z jednego z tych domów, które Mickiewicz nazywa „szkołami, uczącymi żyć z ludźmi i światem“, był — po kądzieli — wnukiem zacnego ministra Bądyniego i w jego otoczeniu w Warszawie się dalej kształcił. W Krakowie spotykał jeszcze panie, których mło-

dość kwitnęła była za króla Sasa; dziad i stryj byli dworzanami króla Poniatowskiego, babka — siostrą Tomasz Wawrzeckiego, następcy w Naczelnictwie Kościuszki; Ruszcza dziadowa, gdzie „siać hreczkę“ miał pan Paweł aż do zgonu, dostała się jego rodzinie, pośrednio, z rąk siostry Stanisława-Augusta. Stykając się nadomiar ciągle w domu dziada ze statystami i poetami „pseudo-klasycznymi“: ze Staszicem, Niemcewiczem, Koźmianem, Osieńskim, Morawskim, — mógł powiedzieć Popiel później o sobie:

— „Sejm Czteroletni, rewolucja kościuszkowska, Księstwo Warszawskie, to dla mnie obecność, a nie historia“.

Tę obecność, jak arkę, przeniósł aż do lat naszego dzieciństwa.

Wstąpił w r. 1823 na Uniwersytet warszawski.

— „Wiatr liberalny z góry — pisze w „Pamiętnikach“ — dał na tę młodzież, w której fermentowały, obok miłości Ojczyzny, niewytrawne nauki. Być może, że fałszywe filozoficzno-socjalne zasady, dziś z gruntu u wielu wykorzeniające początki nawet wiary i zupełne zrzadzające w duszach spustoszenia, nie były do tyła, co dzisiaj, rozkrzewione, ale to pewna, że wiary mało było. Coś z praktyk domowych pozostało; prawdziwie z gruntu chrześcijańskiej młodzieży nie było...“

— „Popiel wszakże — pisze jeden z jego biografów³⁾, gdy inni zwolna stopniowo powracali do wiary ojców, Paweł Popiel odrazu zamłodu stanął na gruncie ścisłych zasad katolickich bez wewnętrznej walki, ale z ciągłym trudem czynnego a potężnego umysłu, z ciągłym doskonaleniem chrześcijańskiego życia“.

Dalej: jako młodzieniaszek szesnasto- czy siedemnastoletni — to pokolenie „romantyczne“ było, jak wiadomo, przedwcześnie dojrzałe — zapoznawał się z naczelnymi pisarzami odrodzenia katolickiego we Francji: z Maistre'm, z Lamennais'em, z Bonaldem. Ci trzej — rzec można — urobili najsilniej zmysł katolicki wielkiego publicysty.

— „Pośród zgiełku... wojen (napoleońskich)... — napisze Popiel po latach wielu⁴⁾ — kilku ludzi z położenia mało znaczących: jeden nad Newą (Józef de Maistre), drugi na poddaszu ciemnej ulicy paryskiej (Ludwik de Bonald), trzeci nad brzegami Oceanu (Robert de Lamennais), podnoszą głos bez porozumienia, a prawie jednocześnie i jednobrzmiąco i, wbrew rządowi umysłu filozofji w polityce, głoszą prawdy, wprawdzie jak świat stare, ale obecnie zapomniane...“⁵⁾.

De Maistre był twórcą traktatu „O Papieżu“ (1820), a zarazem głęboko natchnionym mistykiem chrześcijańskim, który, po klęskach i zniszczeniach Rewolucji, w Kościele Katolickim upatrywał — ...nieustanną kontrofensywę duchów jasných, szturmujących harmonją modłów swoich i wyrzeczeń do nieba i przeciwstawiających się zarazem nie słabnącej ani na chwilę ofensywie ciemnych, ziemskich sił narzucającej się przyrody.

De Bonald, autor dzieła „O rozwodach“ natchnął Popiela przekonaniem, że

— „...małżeństwo jest tak dalece węgielnym kamieniem każdej towarzyskiej budowy, że epoka wzruszenia

¹⁾ Kraków, 1927, Krakowska Spółka Wydawnicza.

²⁾ „Pisma“ (Kraków, 1893), I, 365—6.

³⁾ „Czas“ z marca 1892 (artykuł wstępny).

⁴⁾ „Pisma“, II, 159.

⁵⁾ tamże, II, 415.

onego zapowiada zawsze początek rozkładu ciała społecznego⁶⁾.

Oddziałal on zarówno na dwa „Listy o rozwoju“, które Popiel, jako młody referendarz Komisji Oświecenia i Spraw Duchownych, napisał był przed zmaconym sprawą „reformy“ prawa małżeńskiego ostatnim Sejmem Królestwa Kongresowego, w r. 1830 — jak i na inny „Memorjał o małżeństwie“, zredagowany przezeń w r. 1868, na użytek obcego rządu austriackiego.

Lamennais nareszcie, przyjaciel i naśladowca Mickiewicza, twórca pomnikowej rozprawy „O obojętności w rzeczach wiary“, później, po Rewolucji Lipcowej, potępiony przez Papieża za swój skrajny demokratyzm, w latach 1926—9 potężnie wpływał na Popiela, który dzięki niemu i jego znakomitym przyjaciółom, jak Bailly, założyciel katolickiego stowarzyszenia studenckiego „des bonnes Etudes“, jak Gerbet, późniejszy znakomity biskup z Perpignan, jak Boré, późniejszy generał Misjonarzy i naczelnik szkół Franków w Syrii, i jak wymowny Dominikanin Lacordaire, wszedł w ścisły kontakt z tak kwitującym wówczas we Francji ruchem katolickim. A te cenne na całe życie stosunki uzupełnił w roku 1829 podróżą do Anglii, w samejże doniosłej chwili emancypacji katolików, której setną rocznicę obchodzić będzie prawowierna Anglja wielkimi uroczystościami w nadchodzącym kwietniu. Odwiedzał tam Popiel między innymi pełen gorliwości dom Vaughanów, co wydać miał z łona swojego szereg duchownych.

W powstaniu listopadowym zaciągnął się Popiel do legji Poznańskiej; walczył pod Grochowem, pod Dembem i na Woli.

— „Cervantes, — tak wspominał ten swój udział starcem blisko osiemdziesięcioletnim — pisząc jedną już tylko ręką nieśmiertelne swoje dzieło, mówi: „straciłem rękę pod Lepanto, ale co to znaczy obok wspomnienia, że się w bitwie pod Lepanto było“. — Ręki nie straciłem, arcydzieła nie napisałem, ale Bogu dziękuję, że na starość wspomnieć mogę: byłem pod Grochowem, pod Dembem i pod Warszawą“.

Po upadku powstania osiadł Popiel na wsi, najpierw w uroczych Kurozwękach w Sandomierskim, potem w zabytkowej Ruszcy pod Krakowem. Jak wprzódy walczył ense (mieczem), tak walczyć miał teraz dalej cruce et aratro (krzyżem i plugiem) i piórem w służbie Krzyża. Jednej też z głównych jego, jako publicysty

katolickiego, kampanji, kampanji o władzę świecką papieży, rozegranej w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zeszłego stulecia wspólnie z innymi pokrewnymi publicystami, przyjrzymy się w następnym numerze „Rodziny“.

Powiada Popiel w życiorysie Maurycego Man-
na¹⁾, że — „badanie wielu ludzi, co sławą w świecie nie zabyli, tak ciekawe; dlatego Kościół aż do szczytu świętości podniósł ludzi, o których świat ani wiedział ani chciał wiedzieć“...

Popiel — to „Pan Podstoli“ XIX-go stulecia, syn nie — „tłustej“ szlachty, ale, bądź co bądź, z roli wyrosły; Mann — ani społecznymi stosunkami, ani urzędem, ani bogactwem nie zajmował stanowiska. — Wszystkiego w życiu sam, walką i krwawą pracą musiał się dorabiać“.

Urodzony 2 października 1814 r. w Krakowie²⁾ z matki Ernestyny von Hausegger, siostry pułkownika wojsk austriackich, mieszaniec zatem, jak Pol i jak tyłu innych znakomitych naszych, dwóch krwi, bujnej polskiej i systematycznej niemieckiej, matce, kobiecie niepospolitego charakteru, zawdzięczał Mann skarb wiary, który przeniósł nietknięty a wzmożony przez całe życie. W biblioteczkę moją, zasilonej spadkiem po Mannie, który wszystkie swoje książki i korespondencję (niestety! podczas wojny zaginioną) ś. p. mojej matce legował, posiadam stare wydanie Pruszcza: „Klejnotów stołecznego miasta Krakowa“, z dedykacją „Najjaśniejszej Nieba i Ziemi Królowej, Najpotężniejszej Królestwa Polskiego i stołecznego miasta Krakowa obronie, Przenajświętszej Marji Pannie...“ oraz sygnaturą: „Ernestyna Mann“. Na tle tych „klejnotów stołecznego miasta Krakowa“ wzrastał piękny chłopczyk, tu w r. 1830 zdawał maturę, stąd w dwa lata później wyruszył na dalsze studia do Genewy i Paryża. W Genewie słuchał Mann wykładów dwóch uczonych Włochów: Jana Karola Simonde de Sismondi, autora „Dziejów rzeczypospolitych włoskich w średniowieczu“ oraz Pellegrina Rossi'ego, profesora prawa karnego i rzymskiego, późniejszego posła francuskiego w Rzymie papieskim i ministra Piusa IX., zamordowanego na tem stanowisku w r. 1848 przez Rewolucję.



Papież Pius IX.

Przenajświętszej Marji Pannie...“ oraz sygnaturą: „Ernestyna Mann“. Na tle tych „klejnotów stołecznego miasta Krakowa“ wzrastał piękny chłopczyk, tu w r. 1830 zdawał maturę, stąd w dwa lata później wyruszył na dalsze studia do Genewy i Paryża. W Genewie słuchał Mann wykładów dwóch uczonych Włochów: Jana Karola Simonde de Sismondi, autora „Dziejów rzeczypospolitych włoskich w średniowieczu“ oraz Pellegrina Rossi'ego, profesora prawa karnego i rzymskiego, późniejszego posła francuskiego w Rzymie papieskim i ministra Piusa IX., zamordowanego na tem stanowisku w r. 1848 przez Rewolucję.

¹⁾ „Pisma“, II., 298—323.

²⁾ nekrolog A. Belcikowskiego w „Tygodniku Ilustrowanym“, 1867-II., str. 353.

⁶⁾ tamże, I, 316.



Maurycy Mann.

Fotogr. wspolcz. ze zbiorów rodzinnych.

— „Powrót do kraju — pisze o młodym Mannie Popiel — w czasie, kiedy pogrom rewolucji listopadowej oddziaływał na społeczeństwo, a życie objawiało się tylko spiskiem, był straszny. Zdolnemu nad miarę, stojącemu bez majątku, a z całym urokiem młodości, rozumu, nauki, radzono i chciano otworzyć wstęp do dyplomacji rosyjskiej lub wojska. Nie było wahania ani chwili; wybrał raczej kilka lat bolesnego czekania, szukania, które dla niego było tem niebezpieczniejsze, że urok osobisty otwierał mu towarzyskie stosunki, poważne, przyjemne, a w istocie rozstrajające“.

Z tego to okresu czasu datują się jego niezbyt fortunne próby literackie, dramatyczne zwłaszcza, wzorowane na Aleksandrze Dumasie, ojcu, którego poznał we Włoszech.

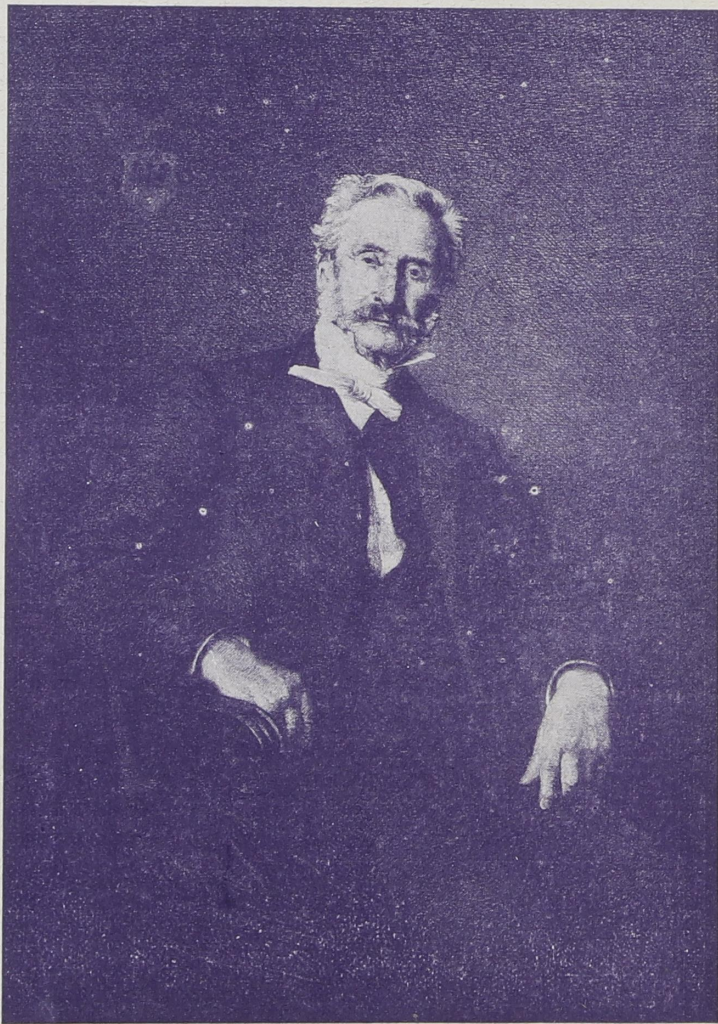
„Wiosna ludów“ wciągnęła Manna w wir polityki krajowej. Najpierw w Poznańskim brał udział w t. zw. Lidze Kurnickiej, potem w Galicji przez całe lat dwadzieścia pięć współpracował w świeżo założonym „Czasie“. Czem był „Czas“ w latach 1848—1876, dzisiejszemu jego czytelnikowi wystawić sobie niesposób.

— „Czas“ — pisze Popiel — powstał w groźnej chwili jako dziennik zasad. W galicyjskiej społeczności nie było ich, nie mogły się wyrobić pod rewolucyjną biurokracją. Galicja miała spiski, nie miała zasad. Na zachodzie rewolucje lipcowa i lutowa zniszczyły,

jedna porządek tradycyjny, druga społeczny... Kościelna nauka zatruta u nas józefinizmem, duchowieństwo albo biurokratyczne albo zaciągnięte do spisków, więc nie mogące podoleć swemu powołaniu. Rdzeń ludu katolicki, choć bardzo obalamucony; w klasie oświeconej, przeciętnie biorąc, większość przyznająca się do Kościoła, a nie umiejąca zdać sobie sprawy, że wiara to nie jest abstrakcja, ale wkłada towarzyskie i społeczne obowiązki. Partja rewolucyjna, jak wszędzie, tak i u nas godziła w Kościół, ale u nas musiała się z nim rachować. W takiej chwili i wobec takich żywiołów powstał „Czas“. Stanisław Tarnowski określał ten dziennik w r. 1874: „jeden z tych rzadkich, które ćwierć wieku żyjąc, nigdy się nie zmieniły, nigdy przekonań swoich nie zaparły, nigdy się nie ugięły, nie uległy, nie płaszczyły, ani przed rządami, ani przed opiniami, ani przed terroryzmem policyjnym, ani rewolucyjnym...“¹⁾. I to było główną zasługą Manna.

Z tej platformy jął pisać broszury o Sprawie Rzymskiej. „Czy rozumiał, że broszury pisane po polsku mogą wpłynąć na bieg wypadków, nie Europę, ale świat obchodzących? Nie miał on ani tej nadziei, ani tej illuzji, ale wiedział, że w ekonomji moralnej jakby

¹⁾ „Królowa Opinia“ („Przegląd Polski“, styczeń 1874, str. 80—1).



Paweł Popiel

Port Pochwal-
skiego (Muz.
Nar. Kraków)



Ojciec Św. Pius XI po podpisaniu Układu Laterańskiego błogosławił tłumy z balkonu bazyliki św. Piotra.

magnetycznymi prądy udzielają się uczucia jedne drugim, w każdym razie nie chciał, aby na naszym narodzie ciążyła część moralnej odpowiedzialności, gdyby całkiem sercem nie potępił zamachu na Głowę Chrześcijaństwa“.

I odtąd — dodaje autor liberalny — „od sprawy władzy świeckiej papieża — zachwiała się wziętość Manna w kraju, a zaczęły się jakieś względem niego podejrzenia“.

K. M. Morawski.

MUZEUM NARODOWE POLSKIE W RAPPERSWILU.

Po powstaniu narodowym 1830 r., a później po rewolucji 1863 r. ruszyli na zachód ci wszyscy, którzy nie stracili wraz z klęską nadziei i zbyt wybitną odegrali w walce rolę, by mogli z korzyścią, niepostrzeżeni przez zaborców, pracować w kraju. Znaleźli się więc we Francji członkowie Rządu Narodowego i Sejmu, co wybitniejsi politycy, oficerowie, poeci, uczeni i dziennikarze. Co Polska miała najlepszego, szło na zachód.

Ideą przewodnią emigracji polskiej był protest przeciw rozbiorowi Rzpltej, a celem jej było przygotowanie sił i wskazanie dróg prowadzących do wskrzeszenia Polski. W głębokim odczuciu potrzeb narodu potrafili emigranci, sami zmagający się z biedą dnia powszedniego, stworzyć na obczyźnie cały szereg instytucyj, służących kulturze i nauce polskiej.

Jednym z tych dzieł emigracji był Rapperswil, a chociaż powstał dopiero w r. 1869, to jednak idea jego tak dawna jak emigracja sama.

Założycielem Muzeum w Rapperswilu był emigrant z roku 1831, poseł na Sejm rewolucyjny, Władysław hr. Plater.

W r. 1868 stanęła, przeważnie jego sumptem wzniesiona, kolumna Konfederacji Barskiej, a 23-go października 1870 r. otwarto w Rapperswilu Muzeum Narodowe. Miało ono świadczyć o żywotności narodu polskiego, mówić o prawach Rzpltej do bytu nie-

podległego, równocześnie pozyskać dla dokumentów i pamiątek polskich walk o wolność trwałe i bezpieczne schronisko, a badaczom dać wolny, niczem nieskrępowany warsztat nauki.

Rządy zaś Muzeum trzymał Plater w swoich wyłącznie rękach, a prowadził przytem akcję pomocy dla studentów polskich zagranicą, akcję międzynarodowej pomocy dla księży polskich wygnanych na Sybir i propagandę prasową na rzecz Polski.

Od r. 1870 niemal do końca toczyła się w Muzeum Rapperswilem o nie i około niego walka, tętniało sporami, ale i życiem. Najcięższy chyba kryzys przechodziła instytucja po śmierci założyciela w roku 1889.

Ciężyły na Rapperswilu długie, ciążyło zobowiązanie odrestaurowania całego zamku, — funduszy nie było żadnych, zbiory, chociaż dość duże, nie były ani uporządkowane, ani należycie wystawione.

Wówczas dzieło rozpoczęte przez Emigrację po roku 1831 — wzięło w ręce pokolenie młodsze, emigranci z powstania styczniowego. Ostato się wtedy Muzeum dzięki płk. Józefowi Gałęzowskiemu, Z. Miłkowskiemu, Bukowskiemu, K. Lewakowskiemu i innym, którzy potrafili instytucję zreorganizować, fundusze oczyścić z długów i byt Rapperswilu chociaż w skromnych ramach zapewnić. Zarząd Muzeum spoczywał w rękach Rady Muzealnej, względnie jej Dele-

gacji Paryskiej, a w Rapperswilu w rękach kustosza i bibliotekarza.

Kustosami Muzeum byli kolejno: major z roku 1863 Miernicki, głośny etnograf Fr. Duchiński, Rado-miński, a wreszcie od roku 1889 Włodzimierz Rosen-werth Rużycki. Powołany do Rapperswilu w najcięż-szych czasach, był Rużycki lat kilka równocześnie ku-stoszem i dyrektorem, oprowadzał gości i pełnił fun-kcje portjera.

Oddany instytucji duszą i ciałem, był wówczas, kiedy nauka o muzeach rozpoczyna swoje istnienie, odpowiednim kierownikiem Rapperswilu. Bo czego on nie umiał: na sztuce się nieco znał, z artystami prze-stawał, był kiedyś antykwariuszem, stolarka się i rusz-nikarstwem w swoim czasie parał i prawie wszystkie rzemiosła rozumiał. Ale z wiekiem, żyjąc na odludziu rapperswilem, stał się mizantropem, poczał przekła-dać towarzystwo chowanych zwierząt — kotów, kun i ptaków nad towarzystwo ludzi, — bibliotekarzy rap-perswilem, ludzi młodszych niż on, którzy nie po-zwalali, by sprawy Muzeum traktował według własne-go humoru, poczał nie lubić, a z nimi bibliotekę rap-perswilem specjalnie, a wszystkie książki wogóle.

Bibliotekarzami w Rapperswilu byli pierwszym Zygmunt Wasilewski, potem Stefan Żeromski, R. Miel-czarski, Stanisław Grabski, Wacław Karczewski, Flo-rjan Znaniecki, Woźnicki, Kłyszewski i inni. Życie w Rapperswilu miało widocznie dużo cierni, bo zmie-niali się często, ale lata rapperswilem dały im wraże-nia niezapomniane, przyroda alpejska, studia w archi-wum i bibliotecę, przymusowe chociażby, skupienie się i pogłębienie wywarły wpływ duży i związały ich na zawsze z Rapperswilem.

Zbiory muzealne mieściły się w hallu i 10-u salach i dużej galerii obrazów.

W hallu szereg biustów gipsowych i marmuro-wych: Belwederczycy, J. U. Niemcewicz, — założy-ciele Muzeum, na ścianach mapy, sztandary, alegorie Polski i oczywiście atrakcja każdego muzeum — księ-ga wiedzających.

W sali poświęconej Polsce przedrozbiorowej zbiór przepięknych pasów słuckich, szkła polskiego, a dalej kamee Bianchiniego, przedstawiające w drobnych ko-ronkowych rzeźbach historję Polski, królów, hetma-nów, poetów, — rok 1831 i 1863.

Inne sale poświęcone były Emigracji, kolekcji bro-ni, mundurów, gobelinów, pokoje Kościuszki, Koper-nika, gabinet numizmatyczny, pokój Mickiewicza, przyjaciół Polski i galeria obrazów.

Fundamentem Biblioteki Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu stały się zbiory Leonarda Chodźki, nabyte dla Rapperswilu w roku 1874. Nad powiększeniem jej pracowali Wł. Plater, Krystyn Ostrowski, członek Rządu Narodowego w roku 1863, Agaton Giller, Wolyński, zbierający głównie materiały do powstania styczniowego, Karłowicz, a przedewszy-tkiem Henryk Bukowski.

Emigranci kończący swój żywot, likwidujące się towarzystwa i instytucje polskie tam składały swe bi-blioteki, archiwa i pamiątki. Coroczny wzrost biblijo-teki wynosił przeciętnie 2.000 darów; ofiarodawcami byli przeważnie Polacy albo przyjaciele Polski, mieszkający poza granicami Rzpltej.

Nadało to zbiorom dość jednolity charakter. Znaj-dują się tu przedewszystkiem rzeczy, które w Polsce porozbiorowej nie były bezpieczne, dalej literatura ob-

ca o Polsce i wreszcie druki emigracyjne. Szczegól-nie publikacje emigracyjne tworzą rzadką całość, a w zakresie dziennikarstwa emigracyjnego i druków ulotnych komplet prawdopodobnie jedyny.

Wśród druków, odnoszących się do innych epok, wiele książek bezcennych; inkunabuły, w tem Mateu-sza z Krakowa „De arte moriendi“, zbiór druków ulo-tnych, odnoszących się do stosunków polsko-szwedz-kich w XVII i XVIII wieku, a wreszcie bogata kolekcja, dotycząca Kopernika.

Materiał bardzo cenny i bogaty posiada Bibliote-ka Rapperswilem w pismach i dziennikach tak pol-skich jak i obcych. Druków jest w bibliotece około 70.000. Bardzo poważnie przedstawia się rapperswil-ski zbiór sztychów i rycin. Obszerny zbiór prac J. Falcka, szczególnie w dziale portretów polskich i szwedzkich, zebrany przez H. Bukowskiego. Prócz tego znajdują się tu liczne sztychy Dela Belli, Hondiu-sza, Norblina, a przedewszystkiem Chodowieckiego. Zbiór rapperswilem liczy kilkanaście tysięcy sztychów.

Archiwum rapperswilem wynosi przeszło 4.000 tomów. W materiałach do historii przedrozbiorowej znajdują się ciekawe źródła do dziejów miast, rod-zin, — do dziejów Litwy, Rusi, Tatarów, stosunków włosko-polskich XVII wieku, materiały do dziejów wo-jen szwedzkich w Polsce, wiele dokumentów o Stani-sławie Leszczyńskim, Stanisławie Augustie i inne.

Materiały, dotyczące Tadeusza Kościuszki dały im-puls i źródła Tadeuszowi Korzonowi do opracowania znanej monografii o Naczelniku. W źródłach do cza-sów napoleońskich są między innymi papiery po A. Miączyńskim, Amilkarze Kosińskim i generale Ba-grationie.

Największym skarbem Rapperswilu są zbiory, od-noszące się do dziejów Wielkiej Emigracji; zebrane tu archiwalja są nieprzebranem źródłem do historii buj-nego życia tułactwa. Po kilka tysięcy listów liczy ko-respondencja Lelewela, Chodźki, Mierosławskiego, Pla-tera, Okszy-Orzechowskiego, czy innych.

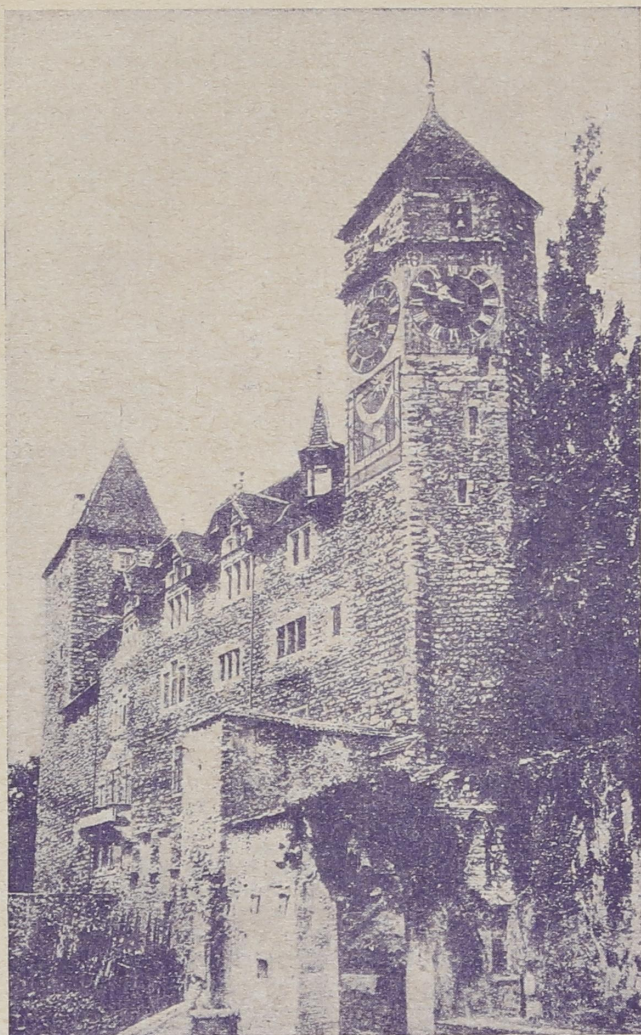
W papierach po Bemie, Samuelu Różyckim, po Sobańskich, Nakwaskim, Nabelaku, Hauke-Bosaku, w dokumentach po Gesztowttach, Gałęzowskim i innych, żyje emigracja polska, której był rozpoczął się pod koniec XVIII wieku, a skończył dopiero w ostatnich la-tach wieku XIX.

W mocnych liniach rysują się na podstawie tych dokumentów dzieje zakładów polskich we Francji i tu-laczka emigracyjna po Italji, Szwajcarii, Anglji i Skan-dynawji.

Materiały, dotyczące pism wydawanych na emigra-cji, źródła do Towianizmu, rękopisy po Balińskim, Kró-likowskim i Goszczyńskim, a wreszcie archiwum Mic-kiewiczowskie są poważnem źródłem dla studjów nad literaturą i światem umysłowym Emigracji.

Archiwum roku 1863 zyskało fundament w zbiorach przekazanych Muzeum przez spadkobierców Ar-tura Wolyńskiego, powiększone materiałami Mieleszki, Wł. Platera i Okszy-Orzechowskiego, jest dziś jednym z najciekawszych zbiorów, dotyczących powstania sty-czniowego.

W archiwaljach odnoszących się do dziejów W Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego i zaborów pruskiego i austriackiego nie brak dokumen-tów pierwszorzędnej wartości, jak część korespondencji Lubeckiego, akty o rzezi galicyjskiej, powstaniu w Po-znaniu w 1848 r. i sprawie wrzesińskiej.



RAPPERSWIL.

Zamek.

Prócz księgozbioru, sztychów, rycin i archiwum posiada Biblioteka Rapperswilska zbiór exlibrisów, kart wizytowych, atlasów, albumów, fotografii i map.

Możność korzystania równocześnie z rękopisów druków, rycin i map oddaje uczonym nieocenione usługi, nadaje studjum wyraźniejsze kontury, barwniejsze i żywsze kolory.

Nakładem Muzeum w Rapperswilu wyszły prace Duchńskiego, Kraszewskiego, A. Gillera, Kozickiego i Zielińskiego. Tu opracował Z. Wasilewski „Rzut oka na dzieje Muzeum“, Żeromski „Katalog zbiorów Mickiewiczowskich“, Roman Dmowski i W. Karczewski „Katalog zbiorów muzealnych“, nakładem Muzeum wyszła praca Korzona o Kościuszcze.

Na źródłach rapperswilskich, na kanwie dokumentów, a niemniej na nastrojach tamtejszych powstała niejedna praca, która nauce i kulturze polskiej przynosiła i przynosi chlubę.

Ilość osób zwiedzających Muzeum wahała się między 6-oma a 8-ma tysiącami rocznie. Na sztandarach Rzpltej przed rozbiorami, na pamiątkach naszych walk o wolność i lat niewoli, uczyli się cudzoziemcy, że Polska ma prawo do bytu niepodległego, że, nie istniejąc jako państwo, istnieje jako naród.

Z chwilą, kiedy Rzplta powstała, stało się Muzeum Rapperswilskie anachronizmem w Szwajcarii. Na mocy postanowienia Sejmu i Rządu zbiory przeniesiono w październiku 1927 do Warszawy. Biblioteka stała się własnością Biblioteki Narodowej, udostępnioną dla badaczy w Centralnej Bibliotece Wojskowej.

Zbiory muzealne są własnością Dyrekcji Zbiorów Państwowych i wystawione były do niedawna w Warszawie w Kamienicy Baryczków.

W Rapperswilu, gdzie mamy jeszcze na 42 lata prawo najmu zamku, otwarta ma być wystawa Polski obecnej, polskiego przemysłu, rzemiosła i sztuki stosowanej razem ze stacją naukową polską.

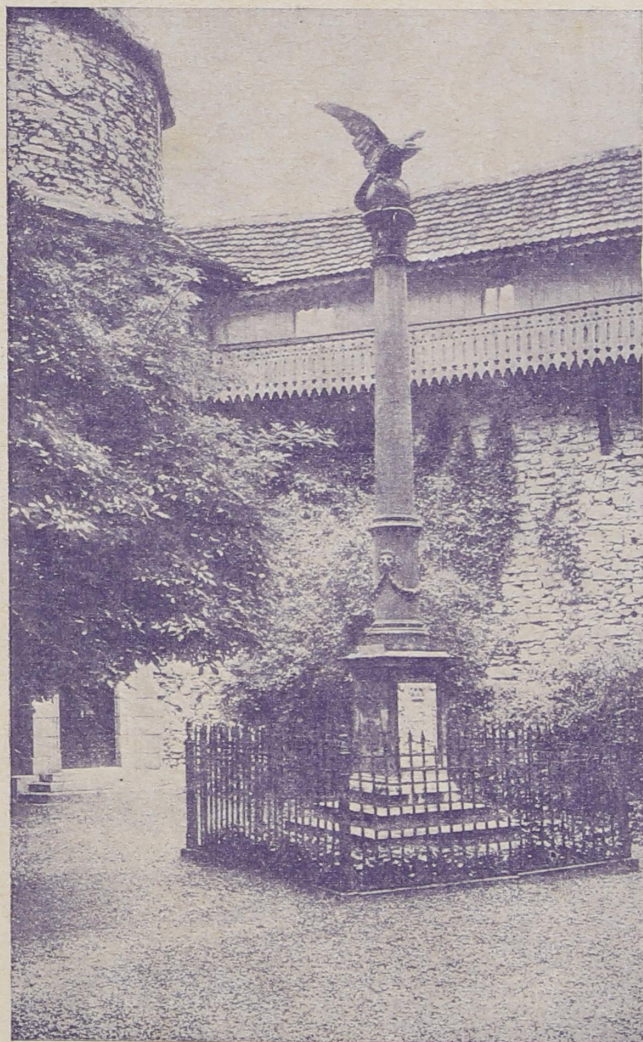
Nowy Rapperswil, jak przedtem, tak dziś, mówić ma o siłach twórczych polskich.

W okresie najcięższej niewoli polskiej, kiedy zdawałoby się, wszechwładnie panował trójlojalizm, był Rapperswil ośrodkiem irydynty polskiej, stamtąd rozpoczęła swe działania Liga Narodowa Polska, Rapperswil widział początki Polskiego Stronnictwa Ludowego i Polskiej Partii Socjalistycznej, stamtąd organizowali Miłkowski i Konopnicka protest przeciw katowaniu dzieci we Wrześni, tam rozwijano akcję przeciw wyodrębnieniu Chełmszczyzny.

Rapperswil stał się symbolem... O Rapperswilu, jako o tem, co jest tylko polskie, wiedziały nawet dzieci i nawet ci, co nie wiedzą, co znaczy muzeum i biblioteka.

Dziela tego dokonała emigracja w Szwajcarii, której należy się wdzięczność za gościnę w najgorszych czasach naszych dziejów, w kraju, gdzie przedewszystkiem realne i materialne wartości mają znaczenie. Świadczyła tam emigracja o twórczej sile samci idei, bo nie stało przecie za Rapperswillem ani zorganizowane państwo, ani potęga siły zbrojnej, ani przemoc pieńżna.

Dr. Adam Lewak.



RAPPERSWIL.

Kolumna barska.

BŁĘKITNE SZTANDARY MADONNY.

„Chwała Ci, Pani, co królujesz w niebie,
My aljans z Tobą zawarli wieczyście!
Więc stawaj zawdy puklerzem w potrzebie
Tym, co Ci wierność rzekli wiekuiście“.

(Pieśń konfederatów barskich do Najśw. Panny).

W drewnianym kościółku Bożego Ciała na Pradze, wzniesionym na cmentarzu kamionkowskim, gdzie spoczywają polegli w bitwie pod Warszawą za Jana Kazimierza, gdzie później złożono prochy ofiar rzezi Pragi i żołnierzy polskich z pod Grochowa, — znajduje się obraz Najśw. Marji Panny, przywieziony tu z Antonówki.

Tradycja zespoliła wizerunek ten z O. Markiem, Karmelitą i z Konfederacją Barską.

Obraz, jak wskazuje jego technika, powstał w końcu XVIII w. Przedstawia Najśw. Pannę (Śnieżną), unoszącą się nad murami twierdzy, na tle sztandarów, dział i ryszunków wojennych.

Postać Matki Bożej jest kopją słynnego obrazu z kościoła OO. Karmelitów Bosych w Berdyczowie. Kompozycja całości nie jest również oryginalna, ale przejęta z miedziorytów, powstałych w okresie koronacji obrazu Matki Boskiej Berdyczowskiej w r. 1755.

Dodatkiem samodzielnym malarza są dwa sztandary, wprowadzone w górną część kompozycji, jeden z Orłem Białym, drugi z Pogonią. Heraldyczna barwa czerwona jest tutaj zastąpiona błękitną.

Szczegół ten stwierdza, że kompozycja powstała karmelita i z Konfederacją Barską.

Konfederaci bowiem, dla odróżnienia od wojsk królewskich, wprowadzili w miejsce państwowych barw białoczerwonych, barwy białobłękitne (Orzeł Biały i Pogoń na tle błękitnym).

Zmiana w barwach sztandarów wojskowych, zastąpienie koloru czerwonego błękitnym, wiąże się z podłożem religijnym, z którego wyrosła Konfederacja Barska.

Malarstwo hiszpańskie XVII wieku wprowadziło i ustaliło dla przedstawień Immaculatae Conceptionis barwy białobłękitne, nadało im znaczenie barw Madonny.

Konfederacja Barska przyjęła te dwie barwy dlatego właśnie, że były one barwami Niepokalanej.

Badania ostatnie nad historią Konfederacji Barskiej, przeprowadzone przez Władysława Kononczewskiego, stwierdziły, że program religijny Konfederacji nie był jednolity, iż koła kierownicze nie wysuwały postulatów kościelno-wyznaniowych na plan pierwszy.

„O przewadze fanatyzmu religijnego w Konfederacji, niszce wymieniony historyk, nie mogło być mowy już choćby z tej przyczyny, że do kół konfederackich, podobnie, jak do kół dworskich w Warszawie, znalazła dostęp masoneria: wybitni działacze tego obozu, jak Mokronowski, Wielhorski, Fryderyk Brühl, Marcin Lubomirski, Heyking — odsłaniają prędzej czy później oblicze wolnomularskie... Do aktu Generalności Litewskiej przykładą ręki k. Baudeau, Francuz ekonomista, esprit fort i mason. Całą kabałą drezdeńską trzęsie jubiler Poucet z Genewy, członek tegoż podziemnego bractwa. Zresztą, co tu sięgać do Francji czy do Drezna: w samej Dukli, skąd tyle złych impulsów wzięła Generalność, istniała przed laty pierwsza loża polska, przez Jerzego Mniszka założona, a w samym Pre-

szowie w r. 1770 funkcjonuje osobna loża „Doskonały Wędrowiec“...

Nie ulega jednak kwestji, że szary tłum szlacheck, który pod znakami Konfederacji obficie przelewał krew na polach bitew, inaczej ujmował cele związku.

W przekonaniach tej wielotysięcznej rzeszy, stojącej z dala od kabały i matactw dyplomatycznych możnowładców, Konfederacja Barska równała się wojnie, podjętej w obronie wiary, w obronie stanu posiadania Kościoła Katolickiego, zagrożonego wskutek zamachów schizmatycznej Rosji i inowierstwa polskiego.

W bogatej ilościowo religijnej poezji barskiej uzewnętrznily się wierzenia, poglądy i przekonania szerokich warstw szlacheckich w sposób o wiele dobitniejszy, aniżeli w dokumentach innego rodzaju. Obrona wiary jest przewodnią, naczelną ideją tej poezji, treścią każdej pieśni konfederatów...

Każdy się wybiera, pod miecz szyję ściele,
Piersi swe otwiera, broniąc wiary śmieie...
Ojciec z swymi syny śmiało w placu staje,
Broniąc swej krainy, z tem się słyszeć daje:
Ginę za me kraje,
W których wiara święta od wieków słynęła.
Złość ludzka przeklęta chce, by zaginęła,
By już nie kwitnęła“...

W ten sposób ujmuje cele Konfederacji „pieśń o Panu Jezusie“.

W obszernym kraju mnóstwo wielkie ludzi:
Czemuż każdego sumienie nie wzbudzi
Wolność ratować, bronić z krajem wiary?

skarży się autor innej pieśni.

Czy to jest kara od Ciebie nadana,
Czy poduszczenie pysznego szatana,
By wiarę Twoją i Kościół poniżył,
Złość Antychrysta w tym wyroku zbliżył?

— — — — —
Zgładź go ze świata, konserwuj rycerstwo,
Niech zginie dumnie razem z nim kacerstwo...

— — — — —
W Twe ręce dusze oddajemy, Panie!
Idziem z azardem, na szafie niesąc ciała,
Krew lać dla Ciebie. Czyliż większa chwała
Być może w życiu, — po śmierci nagroda?

— — — — —
Umrzeć za wiarę, cóż lepszego przecie?...

czytamy w następnej pieśni.

„Nie duszność żadna, nie korzyść z rabunków
Sposób nam daje rzucania ładunków
Na nieprzyjaciół Kościoła i wiary,
Którzy to depczą najświętsze ofiary,
Kościół burzą, hostje rzucają,
Wiedzą, że Bóg jest, a czi mu nie dają...“

głosi pieśń konfederacka o Najświętszej Pannie.

„Wszechmocny Boże, Ojczy, Synu Duchu,

— — — — —
Ratuj nas, lud Twój, zgrom nieprzyjaciół,
Którzy powstają na wiarę, kościoły.
Fundowałeś go krwią Syna i męką;
Nie daj kacerską obalić go ręką.
Zawstyż kalwiną, lutra, schizmatyka.
Niech dobrze wierzy, albo śmierć połyka ...

Zmiłuj się, kiedy zajadłość kacerza
Na zgubę ludu Twojego zamierza
I chce wyniszczyć wiarę Twoją świętą,
A swoją rozsiać naukę przekłętą....

Wyniszcz kacerzów w tem Królestwie wszędzie,
Niech jedna trzoda, jeden pasterz będzie!"

W dziesiątkach pieśni do Pana Jezusa, Najświętszej Panny i świętych patronów powtarza się błaganie: ratuj wiarę świętą...

Największa ilość pieśni konfederackich poświęcona jest Najświętszej Pannie, Królowej Korony Polskiej.

„Na ordynansach w potrzebie Ojczyzny
Stajem rycersko bez pozwy niczyjej,
Miłość jest znosić i odbierać blizny
W sprawie narodu i Panny Maryjej.
Słudźmy Panny, co zrodziła Boga,
Pod Jej znakami święcim nasze szable,
Pod Jej opieką nam do zwycięstw droga,
One swem słowem kruszy moce djabła.
Chwała Ci, Pani, co królujesz w niebie,
My aljans z Tobą zawarli wieczyście!
Więc stawaj zawdy puklerzem w potrzebie
Tym, co Ci wierność rzekli wiekuiście.
Chwała Ci, Panno, patronko tej ziemi,
Tej naszej nędznej dziś Rzeczypospolitej!
A miejże baczność nad sługami swemi,
Co Ci leją krew w ilości oblitej“....

„Woła do Ciebie przez nas Polska cała,
Matko w nadziei miłosierdzia stała
Abyś chyliła jej rękę w tej porze,
Prześlizna Panno, codziennie w Twej zorze:
Nie dając góry gwałtownikom wiary,
Za co Ci wiecznie oddawać ofiary
Będzie przez synów Pani swych łaskawa,
Gdy ocalone będą polskie prawa
Wszelkie nieszczęścia oddal od nas żwawo,
Nie daj nam zginąć, mając do nas prawo,
Zwłaszcza, gdy się lud pod Twój znak gromadzi:
Z głosem ta Matka wszystkiemu poradzi“...

Występując oręźnie w obronie zagrożonej niepodległości i wiary, szara brać szlachecka wysoko podniosła sztandary Bogarodzicy, Patronki narodu, — w Jej błogosławione ręce powierzyła powodzenie sprawy, Jej ofiarowała życie i krew swoją.

Przybranie barw błękitnych przez Konfederację było wyrazem zewnętrznym rozbudzenia i podniesienia kultu Bogarodzicy w szeregach związkowych.

„Dół“, masy konfederackie — formowały swoją ideologję — niezależnie od programów i posunięć oligarchów, stojących na czele tego ruchu.

Dla mas tych ruchawka konfederacka była przede wszystkim walką za wiarę...

Żywiołowa niechęć szaraczków konfederackich do króla Stanisława Augusta, do dworu warszawskiego, miała, niewątpliwie, również podkład religijny. Dla szeregowych Konfederacji, dwór ten reprezentował front antykościelny, ośrodek, zarażony tem wszystkim, co w życie owoczesne wniósł „przewrót umysłowy“ XVIII w., co wniosła w nie masoneria. Do prądów tych bracia szlachecka odnosiła się równie wrogo, jak i do innych przejawów akcji antyreligijnej w owoczesnej Polsce, podjętej i prowadzonej przez potencje przygotowujące rozbiory.

Wyraziście zarysowany stosunek szeregowych Konfederacji do nurtów, przenikających do nas z Francji encyklopedystów, uzupełnia obraz przekonań, wiary i nastrojów w masach szlacheckich — i pozwala ruch barski, obserwowany „od dołu“, określić jako próbę orężnej rozprawy z siłami, które za cel postawiły sobie obalenie wpływów i znaczenia Kościoła Katolickiego w Polsce.

Do walki tej Konfederacja Barska wystąpiła pod błękitnymi sztandarami Tej, co „starła głowę węża“ i „pokonała wszelkie herezje“. Konfederacja Barska politycznie przegrała, runęła w przepaść wraz z gruzami rozpadającego się gmachu państwowości polskiej, ale krew jej żołnierzy wylana za wiarę nie poszła na marne. Nad Polską w niewoli powiewały nadal błękitne sztandary Madonny.

Rzucone przez Konfederację hasła obrony wiary, urosły po rozbiorach do znaczenia nakazu, gwarantującego wewnętrzną niezależność narodu i przyszłe jego odrodzenie.

Dr. M. Skrudlik.

M O D L I T W A.

*Dziecko witane w kolebce
za czarnych dni bratniej wojny,
niechże ci Niebo da Serce
o bohaterstwie spokojnem.*

*Widziałeś przemoc. Bądź silny,
Bądź łaską prawdy znaczony,
Ślad Drogi jest nieomylny:
Szeroki szlak Wolnej Drogi!...*

*O! Dziecko, małeńkie dziecko
chronione wrażej przemocy,
ja wzywam dla Ciebie Słońca,
boś się urodził wśród nocy.*

*Andrzejowi N. urodzonemu
w Petersburgu podczas rewolucji.*

*Wśród nocy szlochały serca...
Nad Twoją kolebką białą
Stał mord i staty nieszczęścia
a piękna dla Ciebie się chciało.*

*Wołam o piękno w Twym Losie.
Z dobrego jesteś Ty gniazda:
by nawet w śmiertelnym ciosie
nad Tobą świeciła gwiazda.*

*Dziecko witane w kolebce
za czarnych dni Bratniej Wojny,
niechże Ci niebo da Serce
o bodaterstwie spokojnem.*

IZABELLA LUTOSŁAWSKA.

CO ZWIEDZAĆ W WIELKOPOLSCE.

GOŁUCHÓW.

Nad rzeką Prosną, w Wielkopolsce, leży wieś i dominium Gołuchów. Pierwotny zamek był wystawiony przez Rafała Leszczyńskiego, jenerała Wielkopolski. Po Leszczyńskich ziemie te przeszły do Przyjemskich, potem do Działyńskich i Czartoryskich. Zamek gołuchowski miał fosy i wały, oraz mosty zwodzone na łańcuchach. Z baszt zamkowych prowadziły przejścia podziemne hen poza rzekę Prosnę.

Kilkanaście pokoleń składało się na kulturę Gołuchowa. Był zawsze ostoją nauki i sztuki. Dziedzice gromadzili archiwę, cenne księgozbiory i zbiory sztuki. Za Niemców Gołuchów trwał nieprzerwanie w dobrej tradycji i miał za dewizę „Ogнем ognia nie zagasisz”. Zaś w późniejszych latach umieszczono na głównym portalu napis:

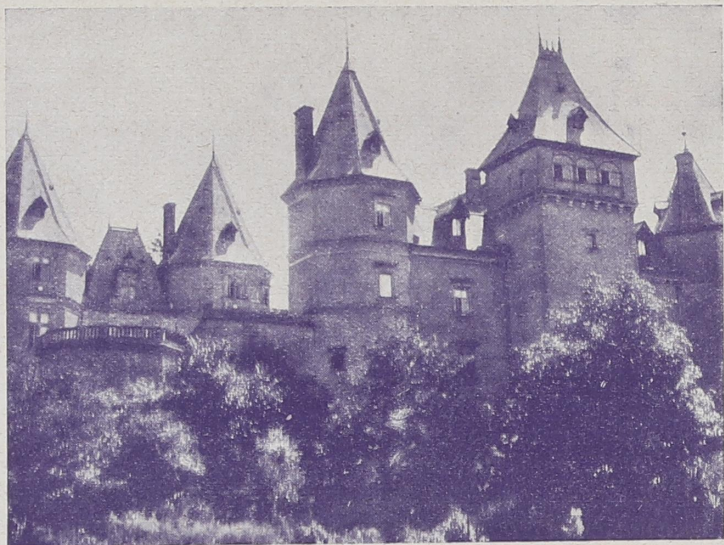
„Z woli Bożej powstają, upadają i znowu dźwigają się gmachy i państwa”.

Szczególnie ciekawie się przedstawia dziedziniec gołuchowski. Ma loggie renesansowe, kamienne schody, arkady, krużganki, kolumny i płaskorzeźby kamienne. Z korytarza wchodzi się do szeregu komnat, przeważnie urządzonych przez hr. Elżbietę Działyńską, nazwaną przez Niemcewicza „księżniczką Rewolucji”.

Słynnym jest pokój z wazami greckimi, pochodzącymi z Malmaison od Napoleona i Józefiny. Cały szereg głów artystycznych doskonale rzeźbionych w marmurze i kamieniu: rzymska niewiasta, strateg antyczny Ulisses. Dalej wazy z czarnymi figurami na tle czerwonym i czerwonymi na tle czarnym. Tu przedstawieni są satyrzy, fauny, nimfy, wreszcie mitologiczne postacie Boreasza i Peleusza. W osobnych witrynach figurynki z Tanagry o niezmiernie delikatnych draperjach i klasycznym układzie całej postaci. Wdzięczne dziewczę, grające na fletni, inne obrywające listki kwiatu.

Następna sala ma brzozy i szkła. Tu szkatułki grobowe, naczynia do balsamów, bożyszcza egipskie, wreszcie szkła katakumbowe, pochodzące ze zbiorów kardynała Borgii.

Jadalnia ma poważny strop o kasetonach z różycami. Wokół piękne boazerje renesansowe okalają okna



GOŁUCHÓW.

Fragment zachodni zamku.

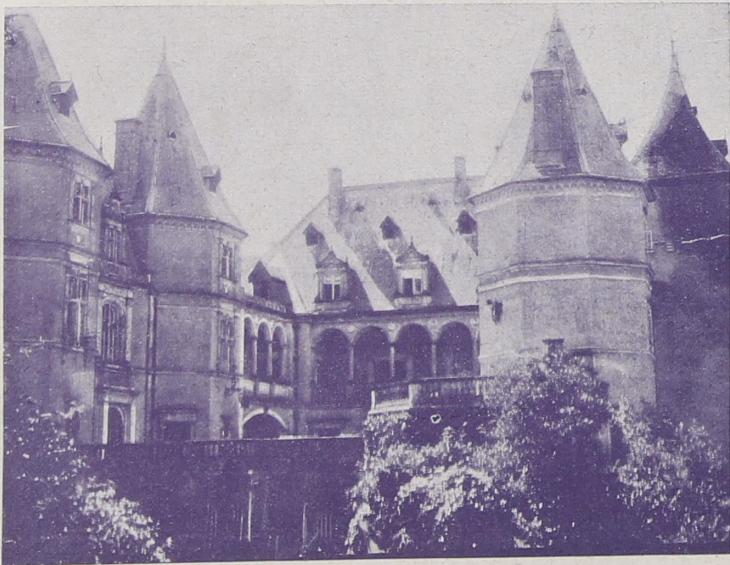
i drzwi. Obrazowania okienne rzeźbione, między oknami gobeliny flamandzkie ze scenami mitologicznymi. Opośała duży portret Stanisława Augusta, pędzla Marcella Bacciarellego, dalej August III i infantka Marja Anna. Śród mebli wyróżnia się kredens francuski, rylcem cyzelowany, o delikatnych odcieniach i miękkim ujęciu.

W sąsiednim salonie sufit, żywcem wzięty z Hotelu Lambert, z Paryża. Szerokie płyty, wielką belką poprzeczną, siestranem przedzielone. Na suficie ciekawe malowania, wykonane przez hr. Działyńską i hr. Tadeusza Grocholskiego z Podola; w matowo-złotym tle arabeski białe, figuralne medaljony, różowe, niebieskie, imitujące kamee starogreckie, rzeźbione w sardoniksie. Imitacja nader udatna, plastycznie wykonana. Na ścianach sporo obrazów: portret kobiety, przypisywany Franciszkowi Halsowi, o spokojnym, poważnym układzie, dużo krajobrazów morskich, kilka utworów przypominających szkołę Rembrandta, wreszcie sporo rycin starych z Jeremjaszem Falkiem na czele.

Dwa gabinety w basztach ośmiobocznych, połączonych korytarzem, mają również ciekawe portrety i sprzęty. W jednym z nich, naprzeciw wejścia, wielka złożona oprawa kominka: karjatydy podtrzymują okap, inna para tworzy ramę portretową. W okapie podobizny królów w drzewie rzeźbione. Jakób Szkocki, Joanna Nawarska, Walezjusze. Tuż portret olejny Henryka Walezjusza, pochodzący ze szkoły Clonetowskiej.

W sąsiedztwie sala z wyobrażeniami Świętych Pańskich: w rzeźbie św. Anna Samotrzecia, św. Helena, zresztą niemieckie obrazy z lat dawnych: Ecce Homo, Biczowanie, Chrystus w Ogródzie Oliwnym.

Jeszcze sypialnia w stylu odrodzenia. Wzdłuż belki na stronie ornament w arabeski przypomina grotteski kaplicy Zygmuntovej na Wawelu. Na ścianach sypialni obrazy flamandzkie. Arrasy ze scenami biblijnymi i z postaciami świętymi. Łóżko złożone renesansowe, zwane łożem dożów, o dekoracjach rzeźbionych i malowanych, przedstawiających potyczki wojenne. Tu dużo portretów szkoły najlepszej: Cloueta — Ludwika Lotaryngska, żona Henryka III, szkoły flamandzkiej —



GOŁUCHÓW.

Widok ogólny.



GOŁUCHÓW.

Krużganki wewnętrzne.

Karol VIII. Wreszcie ciekawy bardzo portret Elżbiety Austriaczki, żony Zygmunta Augusta. Drzwi i okna sypialni mają obramienie, rzeźbione w sploty roślinne, okolone pilastrami.

Sala ze zbroją starą ma karabele, buzdygany, muszkiety, całkowite zbroje w karpie łuski i kolczugi, rzadkie ryngrafy półkoliste i płaskie, rzędy polskie ze stajen Stanisława Augusta. Kolekcja pasów kontuszowych złotolitych, srebrnolitych i jedwabnych, razem złączona,

wygląda jak jedna lita makata o ornamencie mirabowym wschodnim.

Ważną nader rolę dla nauki odegrywała zawsze biblioteka gołuchowska. Z cennych i rzadkich dzieł korzystali nieraz uczeni dla swych badań. Archiwa dostarczały bogaty materiał dla odtworzenia dziejów ojczystych. Gołuchów jest własnością ks. Adama Czartoryskiego.

Antoni Urbański.

CZŁOWIEK W WALCE Z PRZYRODĄ.

Słowa Stwórcy wyrzeczone do pierwszych ludzi: „czyńcie sobie ziemię podległą“, wskazują, że ziemia, t. j. cała natura, przeciwstawiła się człowiekowi i zmusiła go do nieustannej walki z nią, by mógł egzystować. Wciąż znajdujemy się wszyscy w ogniu walki o byt i dobrobyt, o chleb i powietrze, o światło i ciepło, o zdrowie fizyczne i o czystość moralną, o teraźniejszość i przyszłość, o życie i śmierć; prowadzimy wciąż walkę, ponurą i groźną, do której zmusza nas nieubłagana natura. Bronimy się nieprzerwanie, bronimy się rozpaczliwie. Bronimy się, pomagając i ufając sobie wzajemnie; bronimy się, sprzymierzając się w rodziny, społeczeństwa i państwa. Bronimy się, ucząc się i nauczając innych; bronimy się ręką i — o wiele skuteczniej — bronimy się głową. Pracując, budując, oszczędzając, kochając i wierząc, bronimy się. Gdy podpatrujemy zjawiska, gdy przenikamy ich prawidłowość i związek, gdy rozumiemy, uogólniamy i przewidujemy, bronimy się wówczas. Bronimy się doświadczeniem pokoleń i nagromadzoną przez nie mądrością; bronimy się rozumem, bronimy się cnotą.

Gdy natura poskapiła nam niezbędnego do życia ciepła, jakąż rozpaczliwa walka zawrzała na całym polu o najmniejszą okruszynę opału, by nie zginąć od mrozu! Bronią w tej walce była nam nie sama praca fizyczna: kopanie węgla, rąbanie drzewa, ale przede wszystkim przez naukę i rozum wynalezione środki transportowe, a niemniej organizacje społeczne i cnota solidarności ludzkiej, w miłości bliźniego znajdująca swój wyraz. Co nam najbardziej utrudniło walkę?

Nie brak węgla w kopalniach i drzewa w lasach, lecz braki w organizacji, a nadewszystko braki w naszych sercach, w moralnych więzach społecznych. Z cierpienia jednych kuli drudzy zysk nieprawy, przez podnoszenie cen opału, przez łapownictwo i paskarstwo.

Lecz odwróćmy oczy od tych smutnych refleksyj, a spoglądniemy w głąb natury na podstawie dzisiejszego stanu nauki. Co jest w naturze takiego, co przeszkadza, byśmy ją uczynili sobie posłuszną, dla naszych życiowych potrzeb całkowicie powolną?

W naszych trudach, zabiegach i staraniach wyróżniamy to, co nazywamy **pracą**. Nauka dostrzega pracę wszędzie, pracą bowiem nazywa każde pokonywanie oporu w jakimś kierunku. Pracuje nie tylko człowiek i zwierzę, ale pracuje i roślina, gdy ciągnie soki z ziemi, pracuje woda, kiedy toczy i rozkrusza skały lub porusza koło młyńskie, pracuje maszyna, pracuje magnes, pracuje prąd elektryczny. Pracują wszelkie siły, które powodują jakikolwiek, choćby najmniejszy ruch, w całym wszechświecie wre nieustanna praca.

Zdolność do wykonywania pracy nazywamy **energją**. Woda, znajdująca się wysoko, może, spadając, wykonać pracę, zatem posiada w tem położeniu zapas energii. Maszyna, zaopatrzona w zapas węgla, posiada energję, może wykonywać pracę. Energja może być nagromadzona, może być przenoszona z jednego układu ciał do drugiego, może być przemieniana z energii położenia (potencjalnej) na energję ruchu (kinetyczną) i na inne jeszcze rodzaje energii.

Wahadło wolne od tarcia, raz potrącone, poruszałoby się bez końca. Energja jego w najniższym po-

łożeniu wyłącznie kinetyczna, zamieniałaby się podczas wznoszenia się w potencjalną i naodwrot; przy tych kolejnych przemianach nie wydawałoby żadnej pracy na zewnątrz, ale też i zapas energii, udzielony mu z początku, pozostałby zachowany w całości, nie uszczuplony. Tak mówi teoria o zachowaniu energii dynamicznej. Gdyby taki ustrój istniał, nazwalibyśmy go **zachowawczym**. Spostrzeżenia przekonywują nas jednak, że w naturze nie spotykamy układów ściśle zachowawczych. Wahadło doznaje oporu powietrza, tarcia w osi, spółdrgania podstawy i innych przeszkód, z którymi musi się zmagać i swoją energję na pokonywanie ich ustawicznie zużywać, tak, iż w końcu nic jej na wzbudzenie ruchu nie pozostanie, wahadło się uspokoi. Tak się dzieje w naturze, o ile dostrzec możemy, zawsze: **energja rozprasza się** przy wszelkich zjawiskach. Rozprasza się, to znaczy, że wprowadzie nie ginie, — zasada zachowania energii jest prawdziwą — ale przemienia się na takie odmiany, że je odzyskać i napowrót na pracę zamienić nie możemy.

Odróżniamy rozmaite rodzaje i formy energii: kinetyczną energję ruchu, potencjalną energję położenia, ciężenia, sprężystości, wiskowatości, energję cieplną, chemiczną, elektryczną, magnetyczną, promienistą i promieniotwórczą. We wszelkich przeobrażeniach energii sprawdza się ściśle prawo zachowania, t. j. tyle powstaje zawsze kilogrammów jednej postaci energii, ile innych znika. Innem jest jednak pytanie, o ile przemiana jednej postaci w drugą jest praktycznie możliwa. W maszynie parowej ilość wytworzonej energii mechanicznej jest ściśle równoważną zużytej ilości ciepła. Jednakże, jak mały stosunkowo ułamek dostarczonego maszynie ciepła zostaje rzeczywiście zamieniony na pożyteczną pracę! Doświadczenie okazało, że w dobrze urządzonej maszynie parowej przetwarza się na pracę użyteczną tylko 8 proc. dostarczonego ciepła. Motor gazowy jest korzystniejszy: zamienia na pracę około 30 proc. dostarczonego ciepła; reszta marnuje się bez użytku, rozpraszając się w otaczających ciałach jako ciepło niskiej temperatury. Energji tego ciepła rozproszonego już zużytkować nie możemy, jest ona dla nas bez wartości.

Niestety do tego zbiornika bezwartościowej energii spływają nieustannie wszelkie inne, cenniejsze jej odmiany. Tak np. energja mechaniczna dąży zawsze do zaniku i zamienia się z biegiem czasu na ciepło; podobnie energja elektryczna, promienista i t. d. okazują również stałe dążenie do przemiany ostatecznej na ciepło. A to ciepło rozprasza się i wyrównuje wszelkie różnice temperatur, tak, iż w końcu żaden motor cieplny nie będzie zdolny tego ciepła przemienić wstecz na inne wyższe, dla człowieka użyteczne, formy energii. Odbywa się na ogromną skalę, choć stosunkowo powoli, to **zjawisko nieodwracalne**, a przez to dla nas tragiczne w skutkach.

Spójrzmy dokoła: nasz zaulek wszechświata, toczony przez nieodwracalne zjawiska, zamiera powoli, wyczerpując się w walce. Ziemia, będąca niegdyś rozpaloną bryłą, pokryła się już skrzepem i próchnem. Najbliższy nam księżyc, zamarzł oddawna; straciwszy wiele ze swej ruchliwości pierwotnej, zaledwie dzisiaj może dokoła ziemi wydążyć. Słońce zżółkło i stygnie, jest to gwiazda w układzie kosmicznym wcale podrzędna, jej ustrój będzie, w stosunku do wszechświata, trwał krótko. Wszędzie ciała poruszone ustają. Wózek, popchnięty po bruku, zatrzymuje się rychło; roz-

kołysany dzwonek uspokaja się wkrótce; woda wzburzona w naczyniu układa się niebawem do równego poziomu. Uspokajają się fale na morzu, w atmosferze wiatr cichnie, głosy przebrzmiewają; wstrząśnienia i drgania rozchodzą się w ziemi i giną gdzieś niepowrotnie. Góry szczybią się i rozsypują powoli; rzeki zamulają się. Jedne ciała wietrzeją i kruszą się, inne płowięją i blakną, jeszcze inne butwieją, gniją, palą się albo pokrywają rdzą. Rozgrzane ciała stygną, oziębione przybierają napowrót temperaturę otoczenia. Prądy elektryczne, jeżeli nie są ustawicznie wzbudzane, zamierają naogół bardzo szybko; chwytane, pochłamane, tłumione przez wszystkie rodzaje materji, promieniowanie ginie w niej, zwykle niepowrotnie.

Z tą powszechną dążnością przyrody walczyć bez przerwy, musimy z nią walczyć. Przyroda ujednolajnia wszystko, wyrównywa, przyćmiewa, uspokaja i gładzi; my zaś, ażeby żyć, musimy odrabiać tę jej bezmierną robotę. Musimy odżywiać się, oddychać, zaspokajać pragnienie, od zbytniego upału lub chłodu się chronić, w nocy niecić światło, zabezpieczać się od klęsk żywiołowych, porozumiewać się między sobą, przenosić się z miejsca do miejsca, chorobom się bronić, cierpieniu nieść ulgę, tworzyć rodziny, gminy, społeczeństwa i państwa, myśl naszą kształcić, uczucia pogłębiać i uszlachetniać. A w tych i wszystkich innych potrzebach naszych i celach cóż czynimy?

Oto staramy się wydobywać rzeczy z naturalnego chaosu i przysposabiać je sobie, usiłujemy wytwarzać układy sztuczne, urządzenia nienaturalnie proste, stany niezwykle i nietrwale, ale nam potrzebne. W drobnym zakresie naszych sił i możliwości odnosimy wprowadzie zwycięstwa nad upodobaniem natury; ale są to zwycięstwa pozorne, albowiem okupione straszliwym marnotrawieniem nagromadzonych w świecie zasobów. Każdy bochenek chleba, każda rozpraszająca ciemności lampa, każda sztuka płótna, każdy arkusz papieru, każdy obraz, posąg, dom, most, okręt, każda fabryka, każda maszyna, ba, nawet igielka, jest takim miejscowem, maleńkiem, pozornem, chwilowem zwycięstwem. Ażeby zbudować automobil, ile spalono węgla, ile roztrwoniono energii? Walczymy nieustannie z naturą, wciąż usiłujemy wydrzeć wpływowi jej przemian jakiś przedmiot, jakąś istotę, jakieś urządzenie. Pożar domu, zawalenie się mostu, zatonięcie okrętu, wybuch gazów w kopalni jest buntem natury przeciw narzuconemu jej przez człowieka, nieznośnemu jej, porządkowi. Zważmy, że te i podobne klęski są tylko powrotem do stanu naturalnego, że wszystko, prędzej czy później, do tego stanu dojść musi. Co tylko czynimy, jest naogół walką, z góry przegraną, z nieodwracalnemi zjawiskami natury. Czując, że nie możemy im zapobiec, usiłujemy przynajmniej tu i ówdzie hamować, opóźniać i odwlekać ich przebieg. Taki ostatecznie jest sens wszystkich naszych magazynów, zbiorników, śpichlerzy, naszych skarbców, arsenałów i fortec, naszych pomników, murów i bronzów, wszystkich piramid kamiennych i stalowych domów. Lecz to wszystko jest walką liścia z wichurą jesienną; wszystko to będzie, jest już dzisiaj, łupem nieodwracalnych procesów, wszystko to w proch się obróci i w pył bezimienny.

Trwałym jest tylko duch, który ma życie własne, ponadnaturalne.

Jan Piętko.

POLACY NA ŁOTWIE.



„Obrona Częstochowy” w Dyneburgu.

Polacy na Łotwie, jako mniejszość narodowościowa, pomimo trudnych warunków istnienia, nie zarzucają ani duchowej łączności z Macierzą, ani swej żywotności. Pracują na wszystkich dostępnych polach działalności o światowej i społecznej.

W Dyneburgu od jesieni 1928 r. Polacy miejscowi mają swoje własne pismo codzienne „Dzwon”, broniące interesów ludności polskiej w Republice Łotewskiej.

W Dyneburgu pamiętają również o potrzebie polskich widowisk. Właśnie dnia 11-go b. m. odbyło się tam staraniem ks. Wyzula na scenie Teatru Kolejowego przedstawienie „Obro-ny Częstochowy”. Sztukę tę odegrała młodzież polska. Dekoracje i kostjomy były na wysokości zadania. Teatr był przepel-niony, nie wszyscy, którzy tego pragnęli, mogli dostać się na salę. „Dzwon” nawołuje przeto do powtórzenia tego pięknego widowiska.

WIEJSKI CMENTARZ.

Zapadnięte mogiły — bezimienne krzyże,
słońce na chmur różańcach słów modlitwy niżej.

Ci, co przez życie pruli pierś gliniastej glebie —
czekają teraz cisi na nagrodę w niebie.

Życie całe sterali, tkwiąc na ziemi straży,
a więc Bóg ich zawoła do swoich ofiarzy.

Oczekują cierpliwi — zasłuchani w ciszę —
bajką snu ich wiecznego szum jodeł kołysze.

Zapadnięte mogiły — groby bez imienia —
gasnące słońce modłów tęczą opromienienia.

Złotousto kaczeńce — wonne macierzanki,
upiększają ich wiosen i jesieni ranki.

A wrześnie — babie lato, srebrnolita przędzę
rozwiesza na mogiłkach błagalne orędzie.

Bo najśłodsza z robotnic — Panna Marja Święta
o ich trudzie doczesnym najlepiej pamięta.

Na wioskowym cmentarzu w kamieniistą glinę
złożeni, na obliczeń czekają godzinę.

Na piaszczystym ugorze, pozbywszy się troski,
odpoczywają godnie, gospodarze wioski.

Zaś wspomnienie tych, których już nikt nie pamięta
gorzkim budzi zapachem szorstkolistna mięta.

JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI.



TEN TRZECI.

Poza oknami pokoju kłębią się ołowiane obłoki i chmury, ziemia tonie w błotach wiosennych. Ponury dzień przechodzi obok nas z niepożądaną sieją, gesto na każdym zagonie serca zasiewając smutki.

Powiedz mi, proszę, dlaczego słońce sieje radość, a chmurne niebo nawiewa nam melancholię? Czy radość mieszka w słońcu, a smutek w kłębowisku chmur?

Nie. Ani radość w kuli słonecznej, ani melancholia nie przebywa w chmurach. Nigdy tam tych składników nie wykaże żadna, najdokładniejsza analiza spektralna.

Może więc w Tobie jest to źródło blasków i cieni, fosforyzujące za każdym razem inaczej: to przygnębieniem, to nieopisanym weselem?

Nie. Ani w Tobie takiego źródła właściwie niema.

Gdzie ono zatem bije? Nie w naturze — tam go niema, nie w Tobie — bo przychodzi i odchodzi, jak gość. Musi je światu podawać *ktoś trzeci*... A jest nim ścisły związek, zadzierzgnięty pomiędzy Tobą i naturą... *ład wszechrzeczy*.

Ten ład, który Ciebie zspala i wiąże z naturą, promienną lub chmurną, promiennie albo chmurno, możesz na każdym kroku dostrzec. Wszędzie, dokadkolwiek się udasz, towarzyszyć Ci będzie ów tajemniczy *ktoś trzeci*.

Wieczorem udajesz się spokojnie na spoczynek w tem niezachwianem przeświadczeniu, że jutro wszędzie słońce, bo Ci to zaręcza Ktoś Trzeci — Ład wszechrzeczy. Kroczysz ponad przepaściami gór, przepływasz rzeki, bierzesz na swe usługi niebezpieczny ogień, robisz w laboratorjach chemicznych preparaty, w których jest i trucizna i zarazki chorobotwórcze... Nie dlatego, jakobyś ufał przepaściom, nie lękał się głębin wód, ognia, trucizny i dżumy. Nie. Ufność Twoja opiera się tylko na tym towarzyszu nieodstępnym, którym jest ład wszechrzeczy, równoważący wpływy złych jednych przedmiotów wpływami dobrymi drugich. Jest nim znowu ów Ktoś Trzeci...

A wejrzyj na Twe stosunki z ludźmi!

Zbłądziłeś w nieznanej okolicy, pytasz o drogę. Pokazuje Ci ją pierwszy spotkany człowiek. Nie znasz go, a jednak ufasz jego słowom. Co Cię do tego skłania, żeby zaufać nieznajomemu? Nie on sam, rzecz jasna, tylko ten Ktoś Trzeci, znajomy Twój od dziecka. Ład prawa rządzącego ludźmi, który czyni, że jedni drugim wierzymy, jedni na drugich budujemy, gdyż im także na wszystkich drogach towarzyszy Ktoś Trzeci i skłania do mówienia prawdy, dotrzymywania obie-

tnicy, pilnowania honoru, szanowania cudzej własności, czci, zdrowia i życia.

A chcesz wiedzieć, kto dźwiga całą kulturę narodów i ludzkości? Kto utrzymuje szkoły i uniwersytety, prowadzi lud i rządy? Znowu on, ten niewidzialny dla żrenicy oka, Ktoś Trzeci.

Astronom w swem obserwatorium może przystąpić do obliczania obiegu gwiazdy tylko dlatego, że Ktoś Trzeci kazał tym samym formułom matematycznym działać w głowach astronomów i na szlakach drogi mlecznej. Profesor uniwersytetu może porwać słuchaczy głębia swych wykładów tylko dlatego, że te same zasady Prawdy i logiki i psychologii rozdał Ktoś Trzeci i jego duszy i duszom słuchaczy. Prawodawca tylko dlatego może wpisywać kodeksy cywilne i karne, że za nimi stoi Ktoś Trzeci i ręczy za ich wykonanie w milionowych społeczeństwach.

Na jego powadze, na fundamencie Ładu, buduje się dosłownie wszystko.

Ale musisz pamiętać i nie zapominać stanowczo nigdy o tem, że ów Ktoś Trzeci ma jedno skromne, lecz bezwzględne żądanie, od którego odstąpić nie chce i nie odstąpi. Domaga się absolutnej przysięgi i tylko wyłącznie dla siebie. Fałszywych, udanych sobowótów i przyjaźni dla nich — nie znosi!

Zdarzaia się bowiem ludzie, którzy tworzą sobie takie niewinne nibyto sobowótów Ładu i oddaia im serce nieogrodnie. Zamiast uchylić czoła przed majestatem prawdziwego Ładu wszechrzeczy i wszechstosunków, kłękają na kolana i wielbia coś, co posiada podobieństwo do niego pozorne, powierzchowne...

Robia, jak dzieci. Dasz im wisienkę, lub porzeczkę, a one potem w lesie zrywają wilcza jagodę. Czemście, dzieci, zerwały te trujące jagody? — pytamy. Bo są tak podobne do porzeczek!... Takie czerwone!...

Oto. Druhu mój i Bracie, i Ty się strzeż, abyś nigdy nie opierał się, ani budował na czemś, co tylko podobne do Ładu, — w umysłach, sercach, logice, moralności, prawach i obyczajach, w nurtach wód i w głębokościach sumień — ale zawsze opierał się tylko na Nim jednym!

Na tym jednym, tym Trzecim, co z Boga przed wiekami treść swa wyczerpnął i jedynie boską, wiekuista posiada moc i potęgę.

I jeśli go zaprosisz na gościa stałego i przyjaciela do sanktuarium myśli Twoich, jeśli w jego rece powierzysz nieustępliwa straż nad tą komnatą ducha Twego, bądź pewny! On usunie czynniki zasadnicze rozkładu, On wprowadzi tylko zasady swoje i na ich zbuduje Twe prawdziwe szczęście! — On — Ten Trzeci!

POMYŁKA.

Jeśli żywot pana Jana Izydora Horyńskiego, dziedzica na Oстрыm Kamieniu i Piaskach, nie został szczegółowo napisany, stało się to jedynie dlatego, że pan Jan Izydor rzadko kiedy wychylał się ze swego powiatu, a powiat ten jakoś dotąd nie wydał wybitnych pisarzy, którzyby w sposób należyty mogli zainteresować się godną osobą ostatniego z rodu Krasnobajów-Horyńskich herbu własnego.

Wszelako krzywda ta została panu Janowi częściowo wynagrodzona. Jak Wołyń i Podole szerokie, pozostała po nim legenda pilnie pielęgnowana przez współpowietników i wogóle współziomków.

Pan Jan Izydor był starym kawalerem. Dawno przekroczył sześćdziesiątkę i miał swoje przyzwyczajenia.

Przedewszystkiem obejść się nie mógł bez starego sługi Matwieja, przemianowanego nie wiedzieć z jakiego powodu na Grzegorza.

Ów Matwiej vel Grzegorz urodził się przypadkiem tego samego dnia, co jasnie wielmożny pan dziedzic, właściwie pozwolił sobie na ten luksus. Ale stąd też od lat dziecinnych pomiędzy tymi ludźmi panowała daleko posunięta zażyłość.

Pan Jan, o ile pozwalało mu własne sknerstwo starokawalerskie, dbał o Grzegorza, a Grzegorz zdaje się, naśladować we wszystkim pana — wytrwał również w starokawalerstwie. Chociaż, gdyby zapytać obu, dlaczego tak się stało, z pewnością nie padłaby żadna rozsądna odpowiedź. Stało się tak i koniec.

Rano o 8-ej, potem o godzinie 1-ej w południe, wreszcie o 8-ej wieczorem, Grzegorz był wzywany do pokoju jadalnego. Stawał pokornie u progu i czekał.

— No cóż, Grzegorzu, wypijemy do jedzenia?

— Przydałoby się, jasnie panie.

— No, twoje zdrowie, Grzegorzu!

Potem Grzegorz otrzymywał drugi kieliszek i pił zdrowie swego chlebodawcy i dobrodzieja.

Zdarzało się, że takich kolejek było kilka, zależnie od pogody, stanu zdrowia i humoru pana dziedzica.

Pan Jan potem spożywał samotnie dary Boże, a Grzegorz szedł do kuchni uczynić to samo.

Ceremonja ta ulegała pewnym odmianom co do czasu w niedzielę i święta, gdyż pan jeździł z Grzegorzem do kościoła odległego o 18 kilometrów, a bywała całkiem zaniedbywana, jeśli zrzadka przyjeżdżał ksiądz proboszcz, sąsiad w interesie, lub też pan przystaw czy sam pan sprawnik.

Nazajutrz „kolejka“ musiała być wzmożona.

Tak płynęły w Oстрыm Kamieniu latka i lata całe.

Pan i stangret starzeli się i dziwaczeli coraz bardziej.

Ale obaj mieli jednakową pasję. Trzeba było wyjątkowych okoliczności, by zaniedbali swego stawiennictwa na jarmarku, który odbywał się w powiatówce regularnie co wtorek.

Zawsze panu Janowi wypadał jakiś nagły interes do załatwienia i zawsze we wtorek karetka dziedzica wyruszyła ze dworu w stronę miasteczka.

Długoby opowiadać, jakie interesy załatwiane były na jarmarku, ale to pewne, nie zdarzyło się nigdy, by i pan i stangret powracali do domu bez uprzednich poszukiwań prawdy na dnie kieliszka.

Skutki tego przyzwyczajenia stawały się coraz bardziej nie mile. Karetka wyprawiała różne brewerje, czasem kogoś, lub coś się przejechało, czasem poprostu nie trafiło do domu...

Wreszcie pan Jan orzekł, iż tak dalej trwać nie może.

I pomiędzy panem a sługą stanął pakt, polegający na tem, że w drodze powrotnej jeden z nich musi być trzeźwy. Mieli pić na zmianę. Pierwszy wtorek należał się panu, drugi Grzegorzowi i t. d.

Trzeba przyznać, iż czas jakiś, może z pół roku, umowa była ściśle przestrzegana przez obie strony.

Aż wreszcie w któryś wtorek styczniowy, gdy późnym wieczorem powracali z miasteczka, panu, nieobserwującemu tym razem wstrzemięźliwości wydało się, że konie idą wcale nie w tę stronę, w którą należy.

Panowała zadymka, było ciemno, choć oko wykol...

Przypuszczenia dziedzica niestety nie były pozbawione podstaw.

— Grzegorzu — zawołał. — Już zaczynamy błdzić.

— Ehe — potwierdził woźnica.

Wtedy dziedzic domyślił się reszty.

— Grzegorzu, — ryknął — toż ty się, durniu, urzął, chociaż nie w kolejce.

— Jaktó nie w kolejce — odparł z oburzeniem Grzegorz — toż w zeszły wtorek jasnie pan był pijany...

— Ja — wrzasnął dziedzic. — A kto o babę zawadził?

— Jej jej — huknął się w piersi Grzegorz — przecież to było w zaprzeszły wtorek.

I zaczęła się na dobre sprzeczka, któraby trwała niewiadomo jak długo, gdyby nie to, że konie wjechawszy w jakiś rów nagle stanęły.

— Gdzie jesteście?

— A dółko jego wie. Kręci nas po polu.

Wtedy pan Jan, wychylił nos z niedźwiedziego futra i powiedział decyzyjnie:

— A cofnij konie z rowu i niech idą do domu same.

Było to najlepsze wyjście z kłopotliwego położenia.

— Konie szły powoli. Wichry wyły dziko, śnieg zasywał ślady sań. Wokół było ponuro i ciemno coraz bardziej. W taką pogodę najlepiej siedzieć przy kominku z ulubioną fajką, lub otulić się ciepłą kołdrą w łóżku, a nie włóczyć się po rozstajnych drogach.

Wtem konie stanęły.

— Co się stało? — zahuczał pan Jan — zły, że wstrząs sań przerwał mu drzemkę.

— Zajechaliliśmy tylko niewiadomo dokąd. Zdaje się to las, bo jakiś tu chojak stoi.

— Las — mruknął dziedzic, a potem dodał tonem zrezygnowanym. — A przywiąż konie do chojaka, poczekamy aż się rozwidni.

Po chwili znowu, wychylił się z karety i warknął:

— A wlażno i ty do karety, boś stary i zmarzniesz!

Grzegorz wlażł.

Późna noc, dzika pieśń wichru, wreszcie i pochłonięty przez naszych podróżnych płyn ognisty zrobiły swoje. I pan i sługa — obaj zasnęli.

Ale z rana w Oстрыm Kamieniu panowało niezwykle poruszenie. I było czemu się dziwić. Przed gankiem dworu stały zawiane śniegiem konie i karetka, przywiązane lejcam do słupka. W karecie zaś pan Jan razem z Grzegorzem spali snem sprawiedliwych...

Leon Radziejowski.

SPORT ZIMOWY W ZAKOPANEM.



ZAWODY NARCIARSKIE.

W Zakopanem odbywały się w dniach od 5 do 10 lutego 1929 r. Międzynarodowe Zawody Narciarskie, składające się z szeregu konkurencji.

Do biegu na 50 klm. dnia 5-go lutego b. m. stawilo się 32 zawodników, jednak ukończyło bieg 27. Pierwszym przybył Knuuttila, Finlandczyk, w 3 godz. 50 min. 1 sek., drugi Saartten, Finlandczyk, w 3 godz. 53 min. 22 sek., trzeci Hanson, Szwed, w 3 godz. 53 min. 30 sek., piątym znowu był Jonsson, 3 godz. 58 min., dziesiąty Nemetzky, Czechosłowacja, 4 godz. 19 min. 5 sek., jedenasty Bussmann, Szwecja, 4 godz. 29 sek., dwunasty Fisera (Czechosłowacja), 4 godz. 20 m. 33 sek., trzynasty Motyka Zdzisław (Polska), 4 godz. 25 m. 10 sek., czternasty Krzeptowski Andrzej II (Polska) 4 godz. 36 m.

Dnia 7-go lutego w biegu zjazdowym panów wzięło udział kilkudziesięciu zawodników: Bronisław Czech (Polska) wyprzedzany co jakiś czas przez Bneckena (Anglja), wziął go na finiszu w pięknym czasie o 2 sek i zakończył ten trudny bieg zwycięstwem kolorów Polski. Drugie miejsce zajął Anglik William Bnecken, trzecie Szwajcar Lavener, a 4 i 5 Kaufman i Trajani, Szwedzi.

W biegu zjazdowym pań na starcie znalazło się przeszło

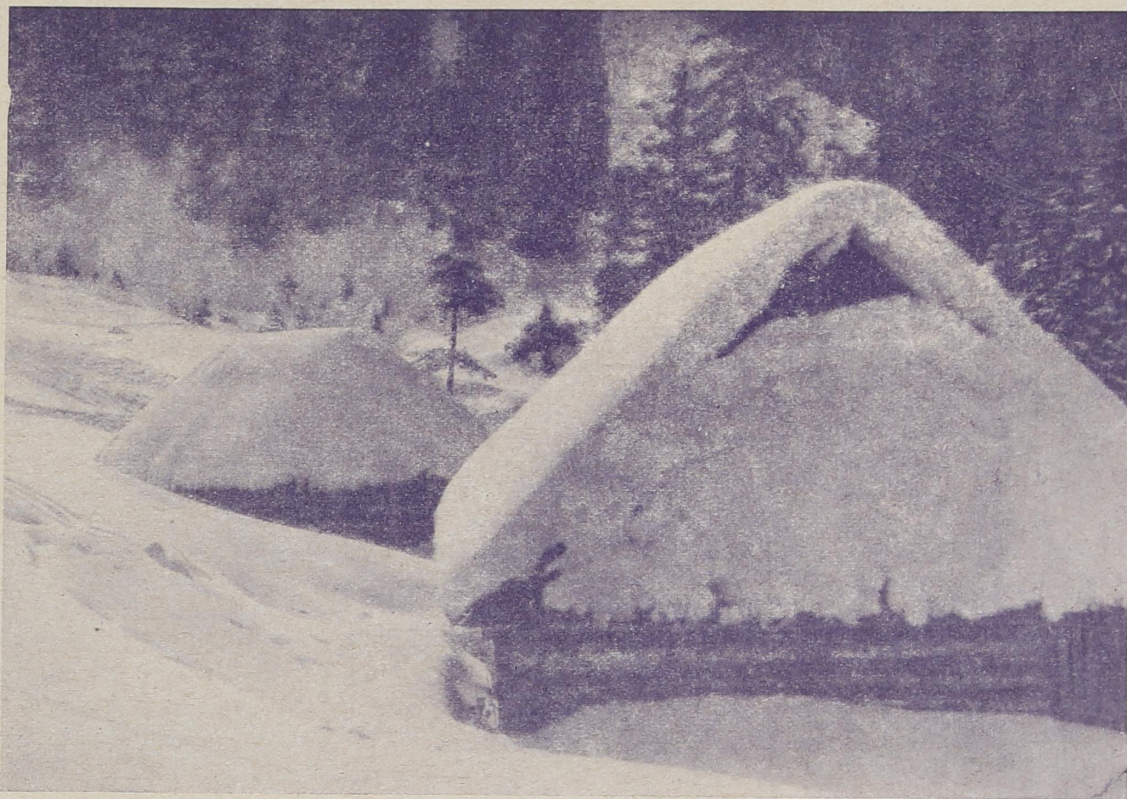
20 zawodniczek stanęły: Polankówna, rekordzistka polska, startuje jako 15. — przychodzi w czasie rekordowym 31.34, jako pierwsza. Na drugim miejscu znalazła się Czeszka, a następnie aż do 9-go miejsca same Polki.

Dnia 10 lutego odbyły się konkursy skoków na Krokwi. Konkurs obserwowały tysiączne tłumy publiczności. Specjalnie zorganizowany zimowy raid Krakowskiego Automobil-Klubu przybył również w dniu tym do Zakopanego.

W konkursie skoków, do którego zapisało się 57 zawodników, startowało 49 narciarzy, a sklasyfikowanych zostało 41.

Wyniki konkursu: 1) Ruud (Norwegja) nota 227,2, skoki 57 i 55 metrów, 2) Johannson (Norwegja) nota 225,2 skoki 56 i 56 mtr., 3) Kleppen (Norwegja) nota 223,8, skoki 54 i 58 mtr., 4) Kratzer (Niemcy) nota 220, skoki 53 i 56 m., 5) Vinjarengen (Norwegja) nota 220 skoki 55 i 55,5 mtr., 6) Busterud (Norwegja) nota 218,1, skoki 53 i 55 mtr., 7) Helman (Norwegja) nota 215,3, skoki 54 i 55,5 mtr., 8) Nuotio (Finlandja) nota 210,3, skoki 48 i 53, 9) Recknagel (Niemcy) nota 209,2, skoki 50 i 53,5 mtr., 10) Czech Bronisław (Polska) nota 208, skoki 50 i 53,5 mtr.

ŚNIEGI NA PODKARPACIU.

*Dwumetrowe złoża śniegu w okolicach Skolego.*

ZŁOTA RYBKĄ.

„Tout comprendre c'est tout pardonner“ — może powiedzieć człowiek o człowieku. Zło, z oddali nie wiem jak potworne, przy bliskiej obserwacji błednie, maleje, przeistacza się i tak poprzez rozpoznanie rzeczy zmierzamy do wyrazu — miłości. Wtedy „zły“ człowiek okazuje się nam poprostu rozbijając się słabym, ciemnym, głupim, więcej litości, niż potępienia godnym.

Zdaje mi się, że praktykowałem w życiu sztukę przebaczenia doznanych przykrości, uraz i krzywd. Bo w istocie nie znam nikogo, dla którego żywiłbym z osobistych pobudek możność szczególniejszej animozji, odrazy i nienawiści — z jednym wyjątkiem.

Jest — przekonałem się niedawno — dawny znajomy, któremu przez ćwierć wieku nie zapominałem o bagatelki, która wszakże była dla mnie naówczas zajmującym zawodem, spiętrzyła się do rozmiarów krzywdy, tak bolesnej, że pozornie nieprzebaczalnej.

A dalibóg incydent ten wydaje się śmiesznie słabym. Aż mi wstyd mówić o tem. Bo o cóż chodziło? O... złotą rybkę.

Tak, o złotą rybkę. Proszę się nie śmiać, bo takie lśniące żyjątko może być dla siedmioletniego, dzieciniego malca tem, co najpiękniejsza branzoleta brylantowa dla młodej panny lub order Lwa i Słonia dla najmłodszego referenta w ministerjum. Więc jak to było z ową rybką?

W drodze do szkoły i z powrotem przechodziłem obok najokazalszej kamienicy w naszym mieście. Należała ona do zamożnego kupca, pana Szyborskiego. Odznaczała się zaszczynie ogródkiem, przylegającym wąskim pasem do jednego jej boku i żelaznemi sztachetami otoczonym. Starannie utrzymane kwietniki wpro-

wadzały w posępne mury śródmieścia niespodziewana a pożądana kanwę barw. A spośród niej tryskała fontanna kielichami szklistych kropli, spadających w basen, w którym migotał rój złotych rybek.

Nieraz zatrzymywałem się przed temi sztachetami i przyglądałem się tym niewidzianym dotąd cackom, które zdaly się z kryształu zrobione i złoto-czerwonym ogniem bengalskim oświetlone, a jednak, wachlując od niechcenia ogonkami i otwierając szeroko jakby żelatynowe pyszczki, pływały niefrasobliwie, leniwie. Gdy tak rozkoszowałem się ich widokiem, brzmiała mi w uszach luba melodja pieśni, jaką mama moja często śpiewała:

„Dołem sinea wody.

Złota rybka mknie...“.

Pewnego razu przydybał przed sztachetami domowego malca ośmnastoletni syn pana Szyborskiego, gimnazista niemal pod wąsem.

— Czemu się tak przyglądasz?

— Tym ślicznym rybkom! Niema takich w całym mieście.

— Niema? A skąd to wiesz?

— Prosiłem mamę, aby mi kupiła choć jedną taką rybkę, ale nigdzie nie mogliśmy znaleźć. Czy to bardzo drogie, proszę pana?

— Nie — uśmiechnął się szczęśliwy właściciel całej czeladki złotych rybek i rzekł wspaniałomyślnie: No, to ja ci daruję taką rybkę.

— Ah, dziękuję panu!! — zawołałem uszczęśliwiony nad wyraz.

Odrzucałem przyglądałem wdzięcznem sercem do niego. Idąc z nim razem do szkoły, szczebiotałem wesoło.

A, wróciwszy do domu, obwieściłem matce radosną wiadomość i bez zwłoki postaraliśmy się o obszerne naczynie szklane dla oczekiwanej rybki.

Odtąd często towarzyszyłem młodemu Szymborskiemu do szkoły. Gawędziliśmy żywo, lecz on nie wspominał ani razu o swym przyrzeczeniu. Ja zaś nie śmiałem przypomnieć mu o tem. Aż pewnego dnia wykrztusiłem z cicha:

— Już mam szklany basenik dla tej złotej rybki, którą mi pan obiecał podarować...

On nic nie odrzekł. Jakiś dziwny uśmiech zamigotał na jego twarzy. W ciągu następnych dni, lubo czatując na niego, nie mogłem go się doczekać. Wreszcie jednak ujrzałem go. Śnać nie spostrzegłszy malca w pierwszej chwili, wyszedł z kamienicy przez główne drzwi.

Na mój widok zachnął się i minał mnie szybko, bez słowa, bez spojrzenia, a z uśmiechem. Napotkał zaraz kolegę i z nim poszedł do szkoły.

Zrozumiałem. Tyle przynajmniej, że nie chciał dać mi rybki. Czyżby dlatego, że wydała mu się nagle czemś wartościowem i sztabaka niegodnem? Nie. — A więc chyba dlatego, że...

To pojąłem dopiero wiele, wiele później.

W tej chwili zaś stałem jak wryty, jakby do głębi wstrząśnięty loskotem pioruna, z oczyma pełnemi łez — w długim, czarnem osłupieniu. Nigdy przedtem nie doznałem tak do posad duszy przenikającego, a zagadkowego bólu.

Odtąd ten starszy, przyjazny kolega przestał mnie znać, a że wkrótce ukończył szkołę i wyjechał, straciłem go z oczu.

W kilka lat potem ujrzałem go w tem mieście, znów na ulicy. Oczywiście nie poznał we mnie owego siedmioletniego smyka. Ale ja poznałem go w okamgnieniu i doznany naówczas ból nawiedził mnie powrotną falą.

Zainteresowałem się nim. Mówiono mi, że handel uważając za zawód siebie niegodny, sprzedał sklep po ojcu odziedziczony, nabył czy wybudował sobie drugą kamienicę i, studiów żadnych nie ukończywszy, wiódł żywot sybaryty między bufetem restauracji, a zielonym stolikiem brydżowym. Chodził w aureoli swego majątku i — robił opinię publiczną.

W tym roku, gdy odwiedziłem tam krewnych, dumni moi koledzy i inni obywatele zaimprovizowali ban-

kiet na moją cześć, uważając, że jako wybitny i głośny adwokat w stolicy przynoszę zaszczyt rodzinemu miastu. Zebrało się z górą czterdzieści osób. Nie mogło wśród notablów braknąć pana Szymborskiego. — Tacy jak on na to istnieją na świecie, by urządzać bale, przyjmować ministrów, dysponować menu wielkich obiadów, prezydować.

Wtedy, po dwudziestu pięciu latach, spojrzałem znów w jego oczy, aby się przekonać jak szalone go niecierpię. Podałem mu rękę bez słowa.

Posypały się na moją cześć toasty. Pan Szymborski nie zabrał głosu. Miałem jego doskonale odżywną postać przed oczyma i skutkiem tego myśl moja powracała do nigdy niezapomnianej złotej rybki.

Jakoż w odpowiedzi swej na toasty — ulżyłem sobie. Wpierw dziękowałem za potok pochlebnych słów oraz za piękny upominek, zaczęm uderzyłem we wdzięczną strunę wspomnień z ławy szkolnej. Wskrzesałem kilku belfrów, kilka momentów komicznych i, gdy nasmialiśmy się do syta, ciągnąłem w ten deseń:

— Ale w te różane wspomnienia wplata się robak... W tę muzykę młodej wesołości wpada zgrzyt... Bo w tem naszym mieście poznałem także — zło...

Nie patrząc na pana Szymborskiego, nie wymieniając jego nazwiska i nie precyzując rzeczy, opowiedziałem, jaki to on zgotował zawód dziecinemu chłopcu.

— Ta złota rybka było to moje pierwsze marzenie — naiwne jak wiek, w jakim byłem, ale dlatego właśnie czyste i złote jak promień słońca... I przez nią dowiedziałem się, jak boli zawód ze strony człowieka, w którym widzimy przyjaciela... Dowiedziałem się wiele więcej... A mianowicie, że są wśród ludzi tacy, co znajdują przyjemność w sprawianiu zawodu, przykrości, bólu... To było dla mnie wielka rewelacja, kłamstwem zła... Bo zaiste osobnik, który bez przyczyny, lubo patrząc na moją radość chłopięcą, potrafił nie dotrzymać swego przyrzeczenia, potrafił zadać taki cios... dziecku, zdeptać jego radosne oczekiwanie, opłuć jego niewinne rojenia, odebrać mu wiarę w człowieka i uśmiechnąć się szyderczo, ten musiał zapisać się w mej pamięci jako uosobienie zła... Tego jedynego człowieka nie broniłbym nigdy przed żadnym sądem, bo to człowiek... paskudny...

Zdaje się, że wcale hojnie zapłaciłem panu Szymborskiemu za jego złotą rybkę?...

Maciej Wierzbński.

Z NOWOŚCI KSIĘGARSKICH.

PRZEZ GOLGOTĘ DO UDOSKONALENIA.

Napisał Kiersnowski Kazimierz. Wyd. XX. Jezuitów w Krakowie. 16^o, str. 61.

W okresie Wielkopostnym odda książeczka ta nieocenione usługi naszej inteligencji. Podzielona na stacje Męki Pańskiej, różni się ona bardzo od nabożeństw znanych nam pod nazwą „Drogi Krzyżowej”. Myślą bowiem

przewodnią autora jest zdanie, że „droga krzyżowa była nie tylko drogą pokuty Chrystusowej za winy ludzkości, ale przede wszystkim ofiarą odkupienia”. Dlatego też w tej Bożej Męce widzi autor przeobfite źródło cnót, na które w pojedynczych rozmyślaniach zwraca uwagę jako na najgodniejszy wzór do naśladowania.

Głównym pragnieniem autora jest,

ażeby w odbywaniu drogi krzyżowej szukać przede wszystkim pobudek do podniesienia się moralnego.

Każde z XIV rozmyślań obfituje w myśli niezwykle głębokie, świadczące o wielkiej miłości Boga i natchnione pragnieniem udoskonalenia się.

Książeczkę tę możemy śmiało i gorąco polecić każdej inteligentnej Rodzinie Polskiej.

Dr. E.

1 DZIE ŻOŁNIERZ BOREM, LA SEM.

(Ciąg dalszy).

W NOC LIPCOWĄ

Wieczór idzie. Wisła barwi się srebrzyście, odbijając w wodach swoich przeglądające się z wysoka, połyskujące już tu i owdzie na niebie gwiazdy i tarczę księżyca.

Przy moście w Puławach staje trzecia kompanja polskiego legionu.

Zmęczona jest pochodem, bojami. Nie dziwota. Dzień w dzień potyczki, strzelanina, wypad, przemarsz, długie i uciążliwe pochody. Doskwierał deszcz i słoneczna spiekota, kurz i błoto. Zdarły się mundury, bielizna, obuwie. Zdarli się i ludzie. Brakuje wielu. Ranni w szpitalach, zabici na polach bitew pozostali. Pakosław, Michałów, Józefów, 17 lipca Władysławów i Leopoldów, 19 lipca bój pod Zajączkowem. Przemarsz przez Łagów, Pajków, Żabiankę, Sosnow, Legion idzie jako część tylnej straży korpusu grenadierów. Zajmuje reduty pod Anielinem. Dnia 20 lipca bije się pod Jabłonowem, Kolonją Chechelską. Dochodzi do Wisły. Na brzegu ostatnie wioski — Góra Puławska. Po drugiej stronie — Puławy. Cztery miesiące temu legion wyruszył stamtąd po raz pierwszy na plac boju. Cztery miesiące. Wichrem zleciały, a zdaje się jednak, że to lata upłynęły już całe od tego czasu. Tu, w Puławach na most przez Wisłę wali teraz od kilkunastu dni cała armja rosyjska od Radomia do Kielc. W tylnej straży armji korpus grenadierów. W tylnej straży korpusu — Legion Polski.

Dnia 21 lipca wszczyna się bój pod Górą Puławską. Rozrzucone po polu oddzielne szanie - reduty bronią długi czas Niemcom dojścia do Wisły. Odstępując pod naciskiem przeważających liczebnie ze 20 razy Niemców, pod huraganowym ogniem artylerji, polskie kompanje, oddzielone od siebie, tracą się z oczu. Trzecia kompanja zeszła o godzinie 7 wieczorem z pozycji, otrzymując rozkaz ochrony ostatniego pod Puławami mostu na Wiśle.

Most już podminowano. W ciągu dnia tedy przewaliły setki, tysiące, dziesiątki tysięcy żołnierzy, setki armat, wozów, ambulansów, dwukółek, samochodów, polowych kuchni. I teraz jeszcze od czasu do czasu przebiega przez most jakiś zapóźniony oddział kawalerji, jedzie klusem zabłąkana pojedyncza podwoda lub przemykają się pojedynczy żołnierze piesi, albo całe ich grupy idą wolnym, zmordowanym krokiem.

Drugi pluton kompanji staje u wylotu mostu po lewej stronie Wisły; pozostałe rozmieszczają się przy brzegu puławskim. Wsłuchują się w gwar bitwy.

Bo na tamtym brzegu jeszcze wre walka. W ciemności słychać salwy karabinowe. Czasami łoskoczą sucho kulomioty; grzmiały armaty. Jasnymi błyskami rwą się szrapnele. Wybuchy lyskają i nad pograżonemi w mrokach Puławami, przepelnionemi cofającemi się wojskami.

Mrok zapadł już zupełny. Wieczór rozbłysnął gwiazdami. Bój zwolna ustaje. Cichną strzały armatnie, milkną kulomioty, przestają łomotać karabiny. Jeszcze tylko za Górą Puławską od strony szosy, wiodącej do Zawichosta czasami huknie strzałów kilka.

Jest godzina 11 wieczorem. Z miasteczka dochodzi do uszu wartujących żołnierzy turkot odjeżdżających wozów i armat, wrzawa głosów ludzkich i tętent kopyt. To korpus grenadierów odchodzi.

Z Lubelskiej ulicy, głównej i najszerszej w Puławach idącej przez całe miasto i będącej jakby przedłużeniem mostu, nadjeżdża konno z kilkoma oficerami dowódca II dywizji grenadierów, generał Stawrowicz.

— Kto ochroni most? — pyta po rosyjsku.

— Trzecia kompanja polskiego legionu — odpowiada po polsku dowódca kompanji, Sulkowski.

Stawrowicz go poznaje.

— Aa... to kapitan tutaj — mówi łamanym językiem polskim, wiedząc, że Sulkowski języka rosyjskiego nie rozumie.

— Tak jest, wasza ekscelencjo.

— Nie wiecie, kapitanie czy moi kijowcy już przeszli?

— Kijowski pułk, wasza ekscelencjo, przeszedł na tę stronę Wisły jeszcze przed południem.

Stawrowicz targa niecierpliwie cuglami, zdzierając leb koniowi do góry.

— Co mi będziecie głowę zawracali, oczy tumanili! Kijowcy są w arjergardzie. Jakżeż więc mogli już przed południem przejść przez most. Toć godziny jeszcze niema, jak sądząc po strzałach, tam za wsią, jeszcze walczone.

Sulkowski milczy.

— A wasz legion kiedy przeszedł? — pyta po chwili generał.

— Ja od południa już nie widziałem tamtych kompanij — odpowiada, salutując Sulkowski. Rozstałem się jeszcze z niemi na tamtym brzegu. Przy mnie przez most nie przechodzili.

Stawrowicz zsiada z konia. Za jego przykładem idą inni. Biję niecierpliwie szpicrutą o cholewy wysokich butów.

— Nieporządek! Bezląd i więcej nic! Sztaby o pułkach nie wiedzą. Pułki gubią się wzajemnie. Nic nie wiadomo — gdzie kto jest. Niema żadnej łączności.



ZAKOPANE.

Fontanna zamieniona w słup lodowy.

Podchodzi do rozpalonego małego ogniska schowanego wśród ruin jakiejś rudery nad brzegiem.

— Jak się macie zuchy - legionery — wita zebranych żołnierzy.

— Żyj nam, wasza ekscelencjo!

— Cóż tam słyhać u was? Zmęczeni jesteście?

Kładzie rękę na ramieniu najbliższego stojącego legionisty ochotnika Chmielewskiego. Wygolony, o jasnych oczach, szczupły i błady Chmielewski spogląda na niego i uśmiecha się szelmowsko.

— Zmęczeni? A tak wasza ekscelencjo. Zmęczeni jesteśmy tem uciekaniem. Czas byłoby już zatrzymać się i odpocząć.

— Czemuż wasz legion nie zatrzyma Niemców?

— Siła złego na jednego, wasza ekscelencjo. Ekscelencja wybaczy, ale... złych mamy partnerów na takiego przeciwnika, jakim jest Niemiec.

— Ho ho ho! — zawołał, śmiejąc się, generał. — Przy mówiliście nam wszystkim. No, ale nic. Wy zuchy prawdziwe. Widziałem was dzisiaj na anieleńskich redutach. Szrapnel przy szrapnelu padał, a wy nic. Siedzieliście sobie jak w domu u siebie. A później widziałem jakąś kompanję waszą. Szła ze śpiewem wśród gradu kul. Ot co! ze śpiewem.

Zwrócił się do swoich oficerów.

— Ot co, powiadam wam panowie. To było piękne. To było właśnie piękno wojny, które nas, starych żołnierzy, porывa. Słońce na niebie i dymy pożarów. Armaty wała, aż ziemia dudni, aż wszystko się trzęsie od huku. Na polu widzisz, jak rwą się ciężkie pociski — olbrzymy, jak padają granaty, szrapnele. A wśród dymu i kurzu widzisz szafce - reduty niewielkie... to tu, to tam. A w nich — oni. Legionery. Naprzeciw zdaleka widzisz łańcuchy piechoty niemieckiej idą. Tysiące ich. Jak morze, jak ocean. Zaleją, zadławiają wszystko. A ci nic. Tylko im jeszcze jedna kompanja na pomoc idzie. Idzie sobie przez to pole i śpiewa. Raz wraz, który z żołnierzy kiwnie się i na ziemię się kropnie. Więcej już nie wstanie. A oni sobie nic, tylko śpiewają. Oficer na przodzie idzie, pogwizduje, a precikiem po cholewach butów uderza raz wraz do taktu. To było piękne, proszę panów. To było naprawdę piękne. Zuchy — do tysiąca czartów i koniec.

— A kijowców niema. Ot bieda — dodaje po chwili.

— I strzałów jakoś nie słyhać już więcej — zauważa któryś z oficerów.

Stawrowicz szuka oczami Sułkowskiego.

Niech pan pośle wywiad za Wisłę. Co z kijowcami. Bo toż — do czarta — most trzeba wysadzać. Sama pora, sam czas największy.

Sułkowski salutuje i zawraca, by spełnić otrzymany rozkaz.

Nim jednak wyruszyli naznaczeni przez niego na wywiad żołnierze, dały się słyszeć na moście głosy i kroki nadchodzącego jakiegoś oddziału.

Zawiadomiono o tem Stawrowicza. Ten dosiada konia i podjeżdża bliżej.

Swoi idą, gdyż pluton, stojący po tamtej stronie, nie alarmował — odzywa się jeden z oficerów.

— Wiem — odpowiada Stawrowicz. — To kijowcy na pewno.

Z ciemności od mostu dochodzi do nich ostry, chropowaty głos, perorujący coś zawzięcie... po polsku. Po chwili poczęto rozróżniać całe zdania.

Sułkowski poznał głos i poruszył się zdziwiony.

Ossowski — mruknął.

Lecz nietylko on jeden poznał głos dowódcy drugiej kompanji legjonu.

— Nasi idą! — poczęli wołać wpatrujący się w ciemność żołnierze.

Legjon idzie.

Chwila jeszcze, a z mroków — podszedłszy bliżej — wyrusza się idący oddział.

Wolnym, zmęczonym krokiem, polyskując bagnietami w świetle księżyca, posuwają się szeregi. Na przodzie idą ranni. Z obandażowanymi, byle jak przewiazanymi głowami, z rękami na prowizorycznych temblakach, opierając się na ramionach zdrowszych towarzyszy, niektórzy bez czapek, w porwanych i pokrwawionych mundurach, idą, — kulejąc i potykając się. — Wśród nich na rozpostartych płaszczach żołnierskich niosą ciężko rannych. Ci leżą nieporuszenie, bladzi, z zamkniętymi oczami, jęcząc cicho.

Za nimi sztandar — i czwórka za czwórką, z bagnietami, nasadzonemi na karabiny, plutony i kompanje w równych od siebie odstępach.

Stawrowicz wspina konia ostrogami i dopada do nadchodzących.

Szeregi zatrzymują się, drogę mając zagrodzoną kołmi sztabowców.

— Kto idzie? — gromko woła generał.

— Legion polski — pana odpowiedź.

— Skąd?

— Z bitwy.

— Kto za wami?

— Niemcy.

— Gdzie kijowski pułk grenadierów?

— Jeszcze rano przeprowił się przez Wisłę.

Chwila ciszy.

— Za wami z naszych już nikogo niema?

— Nikogo. My ostatni.

Szybkie padają zapytania. Szybkie i krótkie są odpowiedzi. Stawrowicz obejmuje wzrokiem stojącą przed nim kolumnę i milknie.

— Wasza ekscelencja pozwoli nam przejść — rzuca ostro, zniecierpliwionym tonem, stojący na przodzie kapitan Ossowski.

Stawrowicz w milczeniu usuwa się ze sztabem na bok. A oni poczynają iść. Księżyc leje na nich blade światło. Idą w tej księżycowej poświacie ranni i zdrowi, wszyscy zmordowani, zmęczeni, w porwanych mundurach, pokryci kurzem i krwią. Idzie II i IV kompanja legjonu. Tylko tabory wcześniej już przeszły przez Wisłę.

Generał patrzy na idących. I raptem, — jakby nim coś targnęło. Wyprostował się, wyprężył na siodle i bez słowa podniósł rękę prawą do skroni, do czapki. Salutując... Tylko mu twarz drga... Salutuje i cały sztab jego.

W milczeniu przesuwają się przed nim szeregi. Żadna nie pada komenda.

Nad nimi jasna księżycowa noc.

Sztab stoi nieporuszony, dopóki ostatni nie minął go żołnierz.

Kompanja, wartująca przy moście, okrąża idących, zarzuca ich pytaniami. Do Ossowskiego doskakuje Sułkowski.

— Gdzie Trygar? gdzie jego kompanja? — woła, nie widząc I kompanji legjonu, ani jej dowódcy.

Ossowski zatrzymuje się na chwilę.

— Pierwsza kompanja?... Tam — odpowiada i wskazuje za Wisłę.

— Jakto — tam? Kiedy wróca? Most trzeba wysadzać — gorączkuje się Sułkowski.

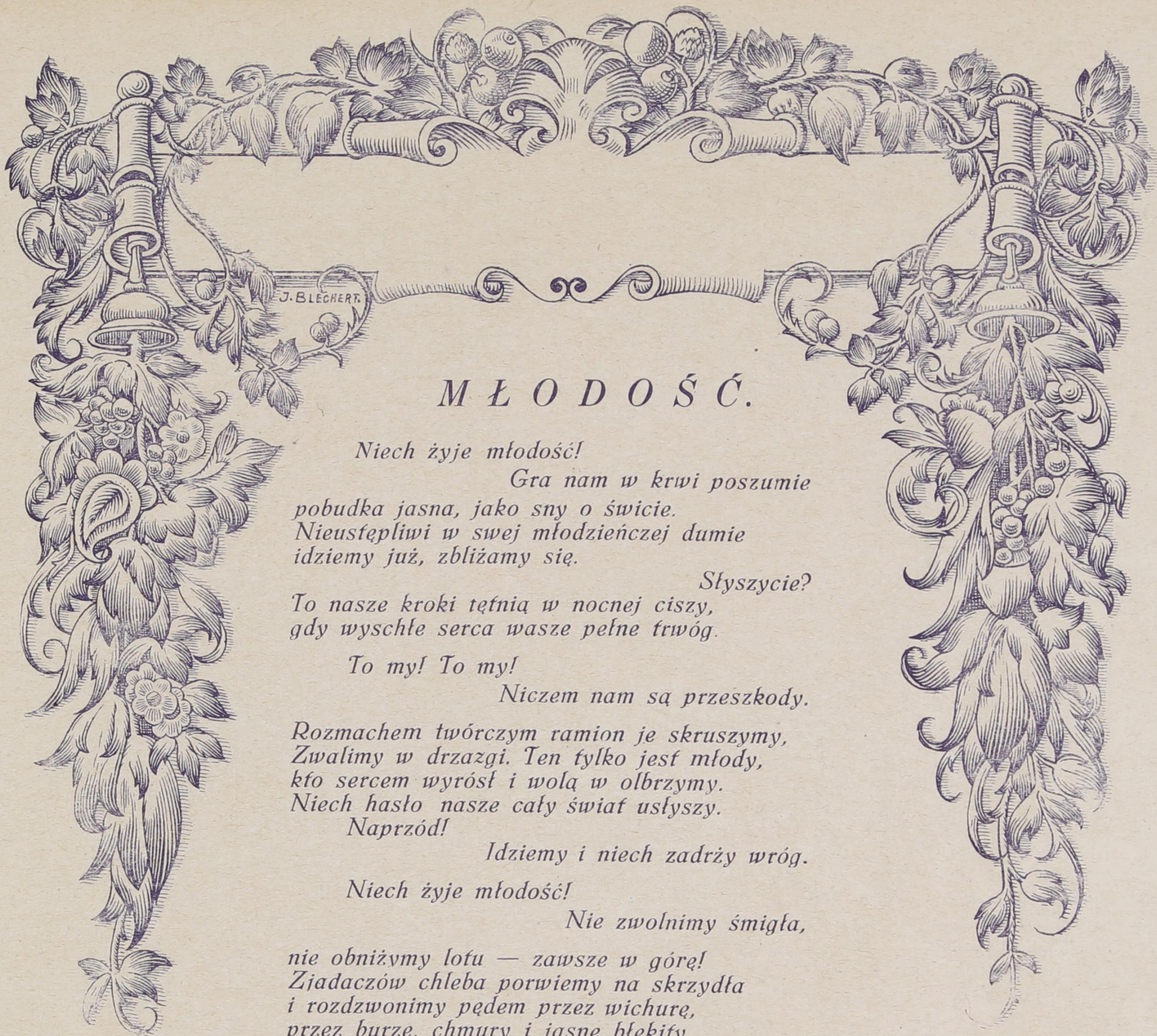
— Wysadzacie. Pierwsza kompanja już więcej nie wróci.

Sułkowski nieruchomieje. Po chwili zdejmując czapkę.

— Wieczny odpoczynek racz im dać Panie...

Generał Stawrowicz daje rozkaz wysadzenia mostu.

(C. d. n.).



M Ł O D O Ś Ć.

Niech żyje młodość!

Gra nam w krwi poszumie
pobudka jasna, jako sny o świecie.
Nieustępliwi w swej młodzieńczej dumie
idziemy już, zbliżamy się.

Słyszycie?

To nasze kroki tętnią w nocnej ciszy,
gdy wyschłe serca wasze pełne trwóg.

To my! To my!

Niczem nam są przeszkody.

Rozmachem twórczym ramion je skruszymy,
Zwalimy w drzazgi. Ten tylko jest młody,
kto sercem wyrósł i wolą w olbrzymy.
Niech hasło nasze cały świat usłysz.

Naprzód!

Idziemy i niech zadrży wróg.

Niech żyje młodość!

Nie zwolnimy śmigła,

nie obniżymy lotu — zawsze w górę!
Zjadaczów chleba porwiemy na skrzydła
i rozdzwonimy pędem przez wichurę,
przez burze, chmury i jasne błękity
aż serc ich dawne rozbudzą się świty.
Przyszłość jest nasza!

Życie na nas woła.

Świat do odważnych należy i silnych.
My — dziś nieznani — niesiemy u czoła
przeznaczeń naszych stygmat nieomyślny.
I na tej ziemi, gdzie ojce orali,
my pługi nasze posuniemy dalej.

Niech żyje młodość!

Sława na nas czeka.

Nas to zwycięstwa oczekują wieńce.
Przed nami życia wędrówka daleka.
Ustąpcie z drogi; idą bezimieńce,
a każdy niesie w tornistrze buławę
i wie, za jaką trzeba walczyć sprawę.

W brzask nowych dni idziemy już gromadą
czujni i wierni wolności strażnicy.
Mieczem Chrobrego i Zawiszy szpada
znak wypiszemy na polskiej granicy,
a jeśli armat pioruny zawarczą,
zgnieciemy wroga i wrócimy z farczą.

Z. BORAKOWSKA-ZALESKA.

Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI.

ROCZNICE LITERACKIE W ROKU BIEŻĄCYM.

Rocznice literackie, zupełnie podobnie zresztą, jak rocznice historyczne, u nas, w Polsce, przechodzą najczęściej niepostrzeżenie, a jednak prawie co roku obok jubileuszy, które można najzupełniej pominąć milczeniem, przypadają rocznice, które wypadalobyby święcić szczególnie, by oddać hołd pamięci tych, co literaturze naszej przysporzyli i blasku i chwały.

W roku bieżącym sporo przypada rocznic literackich. Jedną z nich jest 650-lecie śmierci ks. arcybiskupa - nominata Marcina Polaka, zwanego też Bodułą albo Strepą, Dominikanina. Dziś postać to jest zapomniana niemal zupełnie, a jednak ongiś była to prawdziwa chluba Polski, dostojny bowiem zakonnik ów był znakomitym prawnikiem, świetnym na swoje czasy znawcą starożytności klasycznej oraz autorem pierwszej wogóle historii powszechnej, skreślonej po łacinie. Jak długo dzieło jego miano za doskonałe, świadczyć może fakt, iż przedrukowano je natychmiast po wynalezieniu druku.

Na rok bieżący również przypada 350-lecie zgonu in opinione sanctitatis ks. kardynała Stanisława Hozjusza. Acz mąż ten zasłużył się głównie w dziele reformy katolickiej, to mimo to ma swą kartkę w dziejach polskiego piśmiennictwa łacińskiego. W późniejszym okresie życia z pod pióra ks. Hozjusza wychodziły tylko prace apologetyczne, brońące katolicyzmu, ale w młodości należał on do szeregu najpierwszych humanistów polskich. Między innymi był wydawcą jednego z listów głośnego Erazma z Rotterdamu.

Lat temu trzysta krótko jeden po drugim wyzionęli ducha dwaj inni humaniści - Polacy: Szymon Szymonowicz, autor prześlicznych sielanek, i Szymon Zimorowicz, twórca „Roksolanek”. Pierwszy za parę miesięcy ma być uczczony osobnymi obchodami, których organizacją zajął się specjalny komitet, o uczczeniu drugiego tymczasem nic nie słychać.

Rok 1679 r. — to rok śmierci Aleksandra Maksymiljana Fredry, znanego przede wszystkim ze swoich „Przysłów mów potocznych, obyczajowych, radnych, wojennych”.

Pod koniec 1829 r. umarli: Wojciech Bogusławski, ojciec teatru polskiego i dramaturg (z pod pióra jego wyszedł oślawiony „Cud mniemany czyli krakowiacy i górale”); oraz ks. arcybiskup Jan Paweł Woronicz, autor „Świątyni Sybilii” i kaznodzieja, zajmujący drugie po

ks. Piotrze Skardze, Jezuitcie, miejsce w historii naszego kaznodziejstwa.

Katolicy polscy powinni nadewszystko pomyśleć o jakichś sposobach upamiętnienia 350-lecia ukazania się w Wilnie sumptem ks. Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła „Żywotów świętych Starego i Nowego Zakonu na każdy dzień przez cały rok” ks. Skargi. Jak się wyraził przed osiemdziesięciu blisko laty autor „Piotra Skargi i jego wieku”:

„praca ta zawiera cały wykład wiary, jest jakby kodeksem nauki obyczajów i zachowania się w każdym wieku, w każdym stanie, w każdym położeniu, a rozwijając całe prawie pasmo dziejów chrześcijaństwa, wystawia wszystkie prawdy w żyjących wzorach”.

Wpływ tego dzieła na rozwój życia religijnego w Polsce był przepiękny. Śledząc koleje żywota świątobliwych Polaków, daje się to zauważyć z łatwością. Omówieniu zbawienno działania owego wartoby było poświęcić osobną nawet monografię.

Wracając jeszcze do uczczenia rocznicy „Żywotów świętych” ks. Skargi, zaznaczyć należy, że najważniejszem byłoby wydanie drobnej części ich, zawierającej żywoty świętych polskich. Może które wydawnictwo katolickie pomyśli o tem, bo przez to bardzoby się przysłużyło społeczeństwu.

150-lecie „urodzin” swych w postaci druku w roku bieżącym obchodzić mogą „Satyry” ks. arcybiskupa Ignacego Krasickiego oraz jego „Bajki i przypowieści, na cztery części podzielone”, które to dziełka wyszły zrazu bezimiennie. Wypadek ten w bajkopisarstwie polkiem był wręcz epokowym.

Stulecie istnienia w osobnych książkach, bądź broszurach święci mogą także znów utwory, jak „Sen Elżbiety Piłleckiej” siedemnastoletniego Zygmunta Krasieńskiego, pamiętne „Listy do klasyków i romantyków” generała Franciszka Morawskiego, „Izora” Antoniego Edwarda Odyńca, „Dzieje Polski, potocznym sposobem przez stryj synowcom opowiedziane” Joachima Lelewela, nie licząc już rzeczy autorów drugorzędnych czy jeszcze mniej wybitnych.

Pół wieku temu w ręce czytającej publiczności dostały się: „Z pamiętnika po znańskiego nauczyciela” Henryka Sienkiewicza, „Przygoda Stasia” Bolesława Prusa, „Dzieje Polski” Michała Bobrzyńskiego.

Ażeby wyczerpać wykaz rocznic literackich, dodać należy obowiązkowo, iż przed czterema wiekami przyszedł na świat Wacław z Szamotuł Szamotulski,

kompozytor, pisarz-teoretyk w zakresie muzykologii, poeta łaciński; a przed wiekiem urodzili się: Aleksander Jabłonowski, ceniony historyk; Włodzimierz Spasowicz, jednocześnie prawnik oraz historyk literatury; Albert Wilczyński, szeroko dawniej czytany humorysta.

Na 1829 r. przypada wreszcie rozpoczęcie na dobre działalności pisarskiej przez Juliusza Słowackiego, w tym bowiem roku, jako pierwszy jego utwór drukowany, ukazał się „Hugo”.

J. M. Ch.

Ś. P. JÓZEF RAPACKI.

Z szeregu malarzy naszych w dniu 1 lutego r. b. ubył ś. p. Józef Rapacki, szeroko znany ze swoich często reprodukowanych krajobrazów polskich.

Urodzony w 1871 r. w Warszawie, jako syn znakomitego aktora i dramaturga, Wincentego, do malarstwa poczuł on pociąg w młodym nadzwyczaj wieku. Wykształcenie malarskie otrzymywał początkowo w Warszawie pod kierunkiem Wojciecha Gersona, wnet jednak, jako szesnastoletni chłopiec, wyruszył do Krakowa. Tam zatknął się z wieloma znakomitymi twórcami, np. z Włodzimierzem Tetmajerem, Kacprem Żelechowskim, Stanisławem Wyspiańskim, ale niedługo zabawił w dawnej stolicy Polski, w krótkim bowiem czasie wyruszył do Monachium.

W dziewiętnastym roku życia, wystawiwszy w Warszawie po raz pierwszy swój obraz olejny, zyskał uznanie ogólne. Po tym sukcesie nastąpiły dalsze, między innymi zaś wymienić trzeba otrzymanie nagrody na paryskiej wystawie powszechnej w 1900 r.

Plótna Rapackiego cechuje melancholijne zabarwienie uczuciowe, pejzaże są to pełne cichej, tęsknej zadumy. Placzące brzozy, wysmukłe topole; łąki, powleczone welonami mgieł; stare młyny, stawiska, przestrzenie wrzosowisk w wilgotne świty — oto najczęstsze tematy obrazów tego mistrza. Prawda, że czasami Rapacki powtarzał się, jak każdy notabene płodniejszy malarz, wszakże dzięki miłemu sentymentowi, którego podłożem było szczere ukochanie tak mało rzekomo pięknego krajobrazu polskiego, dzieła jego witane były na wystawach z uznaniem.

Zasluga zmarłego twórcy tkwi w tem, iż wychwalającym piękność nieba włoskiego czy Alp śnieżnych szczyty pokazał przez pryzmat swej duszy urok naszych równi rozległych czy też mżazarów, opromienionych poświatą miesięczną.

Pod względem melancholijnego, zadumy pełnego ujmowania pejzażu Rapacki jest malarskim odpowiednikiem Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Między nim a owym poetą wiele istnieje punktów wspólnych, łączy ich mianowicie jednaka reakcja na podobny krajobraz.

Oprócz malarstwa stalugowego odawał się zmarły mistrz grafice, mianowicie litografii. Plansze litograficzne jego znalazły się nawet w muzeach zagranicznych. J. M. Ch.

WYSTAWA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI NIEMIECKIEJ.

W końcu lutego r. b. sale Resursy Obywatelskiej w Warszawie otworzyły swe podwoje, by udzielić gościny wystawie współczesnej sztuki niemieckiej, która u nas znana jest bardzo mało.

W całości wzięta, impreza owa nie daje pełnego obrazu stanu plastyki w Niemczech, pewne jednak zasadnicze cechy jej obserwować można na zgromadzonych eksponatach z łatwością.

Jak zawsze u Niemców, czyto na płótnach, czy też na grafice znać wysiłek twórczy, znać rzetelną pracę, wskutek czego zewnętrzna strona przedstawia się dodatnio, ale treść wystawionych dzieł sztuki pozostawia dużo do życzenia. Twórcy niemieccy mają skłonność do przedstawiania rzeczy, nawet odrażających swą brzydotą, a to przecie podobać się może tylko nielicznym jednostkom.

(C.).

AKTUALIA.

WIEDZA I ŻYCIE.

Przywracanie świetności Wawelu. Na Wawelu umebrowano i urządzono kompletnie nową salę przylegającą do komnaty Zygmunta Starego. Sala urządzona jest w stylu XVII w. i będzie nosić nazwę sali Jana III. Zdobí ją m. in. obraz przedstawiający wjazd Radziwiłła do Rzymu oraz portrety synów Sobieskiego.

Odznaczenie uczonych polskich. Uczelni polscy prof. St. Kot z Krakowa i prof. F. Koneczny z Wilna mianowani zostali zwykłymi członkami Królewsko-Czeskiego Tow. Naukowego.

Rezerwat leśny. W puszczy nalibockiej, nad jeziorem Kromań, utworzono rezerwat leśny o wielkiej piękności krajobrazu.

Pałac Staszica. Rząd przyznał dalsze subsydjum w kwocie 200.000 zł. na odbudowę Pałacu Staszica. Zakończenie prac rekonstrukcyjnych zapowiedziane jest na wiosnę 1930 r.

O Polsce we Francji. P. Róża Bailly, przewodnicząca towarzystwa „Les amis de la Pologne“, wygłasza obecnie w różnych miastach Francji cykl odczytów o Polsce.

Szopka Polska w Paryżu. Na przedmieściu paryskim Clichy wystawiono kilka razy szopkę polską. Przedstawienia cieszyły się wielkim zainteresowaniem.

Odkrycie archeologiczne. Ekspedycja archeologiczna pod kierunkiem ang. prof. Robinsona odkryła w Dierach 10 kościołów z V i VI wieku po Chrystusie.

Starożytne groby Sowiecka ekspedycja archeologiczna odkryła na terenie Republiki Burjacko - Mongolskiej 52 starożytne groby oraz ślady pradawnego miasta.

TEATR I MUZYKA

Nowe opery. Teatr miejski w Montpeiller wystawił operę p. t. „Pyrrhus“, której autorką jest 18-letnia p. Renée Moubry. Kompozytorka śpiewa sama jedną z głównych partyj.

W medjolańskiej „La Scala“ odbyła się premiera nowej opery p. t. „Il re“ znanego kompozytora włoskiego Geordana do literetka Forzano. Partję główną śpiewała sławna primadonna koloraturowa, p. Toti del Monte.

Zgon aktora. W Pradze czeskiej zmarł Włodzimierz Gamzy, wybitny aktor i reżyser teatru Narodowego.

Polska opera w Nowym Jorku. W teatrze Nowym zostanie wkrótce wystawiona pierwsza opera polska „Nędza Uszczęśliwiona“ skomponowana w roku 1778 przez Kamińskiego do libretta ks. Bohomolca.

Muzyka polska w Szwecji. W Sztokholmie odbył się wielki koncert muzyki polskiej pod dyrekcją Grzegorza Fitelberga.

„Krzyżacy“ w Poznaniu. W Poznaniu wystawiono operę „Krzyżacy“, skomponowaną przez kapelmistrza opery warszawskiej Dołyckiego.

Karol Szymanowski. P. Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przyznał Karolowi Szymanowskiemu nagrodę muzyczną na r. 1929 za koncert skrzypcowy. Wręczenie nagrody odbyło się 22-go lutego w dniu urodzin Fr. Chopina.

Autograf Chopina. Antykwarjusz berliński Leo Liepmann wystawił na licytację autograf Polonezu op. 53 As-Dur Fr. Chopina. Licytacja odbędzie się 8 marca.

LITERATURA.

J. Gwalbert Pawlikowski. W tych dniach obchodził jubileusz 50-lecia pracy kulturalnej i literackiej Jan Gwalbert

Pawlikowski, inicjator 2 tomowego, monumentalnego wydawnictwa „Króla ducha“ Słowackiego.

Jubileusz czeskiego poety. Ku uczczeniu poety czeskiego Otokara Breziny wyszła w sześćdziesiątą rocznicę jego urodzin księga pamiątkowa, zawierająca biografję i bibliografję.

Ruch wydawniczy w Anglii. W Anglii wydano w r. 1928 ogółem 14.399 książek, z tego dla młodzieży — 1.439, utworów religijnych — 981, socjologicznych — 954, biograficznych — 667, podróży — 618, filozoficznych — 317, sportowych — 217, poezji i dramatu — 759, beletrystyki — 3.529.

Zeromski po włosku. Ukazał się przekład na włoski nowel Zeromskiego p. t.: „Tutto e nulla e altre novelle“ — Wszystko i Nic. Tłumaczkami są pp. C. Agosti i C. Garosci.

SZTUKA.

Z Warszawskich Teatrów Miejskich. Balet fantastyczny Maliszewskiego „Syrrena“ przyniósł dochodu 93.301 zł., opera Bizeta „Polawiacze perel“ — 45.679 zł., kom. Fredry „Pan Jowialski“ — 143.822 zł., kom. Perzyńskiego „Dziękuję za służbę“ — 94.169 zł.

Wojciech Kossak. Wybitny malarz polski Wojciech Kossak bawi w Ameryce. Obrazy artysty, zwłaszcza jego konie, cieszą się wielkim popytem.

Dar dla Biblioteki Jagiellońskiej. Biblioteka Jagiellońska otrzymała w darze piękny drzeworyt z XV wieku, prawdopodobnie dzieło artystów południowo-niemieckich, przedstawiający Chrystusa na Krzyżu.

Portrety królewskie. Rząd Austriacki zgodził się odsprzedać Polsce kilka portretów Wazów i Jagiellonów, znajdujących się obecnie w pałacu cesarskim w Wiedniu.



Miesiąc luty r. b. będzie pamiętnym w historii ludzkości. W tym miesiącu bowiem zaszedł fakt doniosłego znaczenia dla całego świata katolickiego — fakt rozwiązania t. z. kwestji rzymskiej.

Cóż to była za kwestja?

Kwestja zaboru przez Włochy Państwa Kościelnego, t. j. przedewszystkiem Rzymu i okolic przyległych, pozatem szeregu innych miast (Rawenna, Bolonja, Ferrara, Ankona, Urbino, Perugia, Benewent etc. etc.).

Państwo Kościelne datuje się od r. 727, kiedy król Longobardów Luitprand podarował Apostołom: Piotrowi i Pawłowi, w osobie papieża Grzegorza II zdobyte na Bizantyńczykach miasto Sutri.

W ciągu wieków, z legatów i darowizn innych „cesarzy rzymskich“ (in nomine oczywiście), jak Pepina Małego, Karola Wielkiego i t. d. powstało Państwo Kościelne, które, przechodząc zresztą najrozmaitsze koleje, przetrwało do r. 1870.

W roku tym, w którym nastąpiło ostateczne, po szeregu walk, zjednoczenie Królestwa Włoskiego z rozproszonych dotychczas prowincji.

Dnia 8 września Król Zjednoczonych Włoch, Wiktor Emanuel I, przysłał do Papieża Piusa IX hr. Ponza di San Mariano z oświadczeniem, że bezpieczeństwo Włoch i Stolicy Apostolskiej zmusza go do zajęcia Rzymu. W trzy dni potem wojska królewskie ruszyły na Rzym, a w tydzień potem jen. Cadorna rozpoczął ostrzeliwanie Wiecznego Miasta.

Papież Pius IX polecił miasto oddać, aby uniknąć rozlewu krwi. Dnia 20 września Rzym został zajęty. Papież schronił się do Watykanu.

Zabór Państwa Kościelnego nawet w poczuciu zaborców był krzywdą, wyrządzoną Papieżowi i całemu światu Katolickiemu. Wyrazem tego poczucia była t. z. ustawa gwarancyjna z r. 1871 mająca zabezpieczyć eksterytorjalność Watykanu oraz swobodę komunikowania się Ojca św. z Episkopatem całego świata.

Stosunek Papieża do tej ustawy musiał być negatywny. Papież nie może być „kapelanem“ choćby najbardziej katolickiego państwa; Papież nie może podlegać niczyjej władzy. Katolicy całego świata muszą mieć niezachwianą pewność, że poczynania Stolicy Apostolskiej nie idą po linii politycznej żadnego państwa, są absolutnie ponadpolityczne. Papież musi być suwerenem.

Dlatego Stolica Apostolska nigdy nie mogła uznać i nie uznawała aktów siły z jesieni 1870 r., ani też ustaw, akceptujących te akty.

Ten stan rzeczy był właśnie „kwestją rzymską“.

Kwestję rzymską próbowano rozwiązać kilkakrotnie, zawsze jednak rozwiązanie rozbijało się o złą wolę czynników politycznych włoskich, opanowanych całkowicie przez masonerję.

Dopiero faszystowski Rząd włoski z p. Benito Mussolinim na czele rozpoczął przed trzema prawie laty pertraktacje z Watykanem. Pertraktacje te doprowadzono szczęśliwie do końca i dnia 11 lutego b. r. podpisano w pałacu Laterańskim układ między Ojcem św. i Królem Włoskim w sprawie Państwa Kościelnego. Kwestja rzymska przestała istnieć.

Na mocy układu Laterańskiego Król Włoski uznaje suwerenność Papieża w Państwie Kościelnem z pełnią władz, suwerenowi przysługujących.

Faktyczną władzę suwerena sprawować będzie Ojciec św. jedynie w granicach t. z. Citta del Vaticano — do którego zaliczono Watykan, kościół i plac Św. Piotra, pałace Kard. Gasparri'ego i niektóre przyległe, ogrody i kilka innych części miasta.

Szczegóły tego aktu, oraz Konkordatu władz ze Stolicą Apostolską nie zostały jeszcze urzędowo ogłoszone.

Z innych spraw na terenie polityki europejskiej wymienić należy Pakt Kellogga i podpisanie t. z. protokołu moskiewskiego. Wymienić go należy bynajmniej nie ze względu na jego wagę, ale raczej dla podkreślenia opinii, czym jest ta sprawa, o której się dziś tak wiele pisze i mówi.

Doniosłość bowiem Paktu Kellogga, jak zresztą wszystkich papierowych wystąpień o „rozbrojenie“ świata, i „wieczny pokój“ jest dość problematyczna.

Nie należy też przypuszczać, aby ktokolwiek z podpisujących Pakt Kellogga, czy protokół moskiewski ludził się co do skuteczności tych poczynañ. Możemy sobie powiedzieć bez owijania w bawełnę, że są to wystąpienia obliczone na elekt, wystąpienia propagandowe.

Moskwa, deklamująca wiecznie o swej pokojowości, korzysta z każdej okazji, aby dać światu dowód swych rzekomo pokojowych skłonności i protokół, którego podpisanie zaproponował zastępca komisarza spraw zagranicznych Z. S. S. R. Litwinow Polsce i państwom ościennym nie jest niczem innym, jak tylko manewrem, obliczonym na wywołanie wrażeń.

Jeśli bowiem zważy się, że Anglja w ciągu dwóch ostatnich lat wybudowała dwa potężne pancerniki (Nelson i Rodney), które przewyższają wszystko, co dotychczas w zakresie morskiej techniki wojennej zrobiono, oraz że budżet angielski na rok 1928-29 przewiduje budowę nowych dwóch krążowników, a w r. 1930-31 budowę 3-ch o pojemności ogólnej 10.000 tonn; dalej, że Ojczyzna samego Kellogga wybudowała w ciągu ostatnich lat 10 krążowników; dalej, że zbrojenia Niemiec, o których świat dowiedział się z ogłoszonego niedawno memorjału min. Groenera — przewyższają przedwojenny pęd ku zbrojeniom i t. d., — to uśmiechnąć się trzeba, słuchając zapewnień o pokojowości i rozbrojeniu.

Afganistan i Chiny... oto dwa kraje, które interesuje się ostatnio opinia publiczna.

I znowu, jeśli chodzi o Afganistan — powiedzmy, że doniosłość wydarzeń w tym kraju jest mocno wydęta.

Awantura w Afganistanie ma znaczenie i to czysto lokalne dla Anglii, jako sąsiada ze strony Indji. Takimi sprawami nie zajmuje się nawet Rząd angielski, polecając ich załatwianie wicekrólowi Indji Wschodnich, który z kolei ma specjalistę od regulowania interesów angielskich u niewygodnych sąsiadów. Jest nim słynny dziś z powodu Afganistanu pułk. Lawrence.

Dlatego zainteresowanie, z jakim Europa traktuje awantury afgańskie, jest uzasadnione tylko reklamą, którą zrobił sobie Amanullah swą podróżą po Europie.

Ponieważ jednak ciągle mówi się o Amanulle, Halibulle i t. p., uważamy za swój obowiązek zreferować pokrótce obecny stan rzeczy.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że informacje z Afganistanu są nie-dokładne. Nie mogą zresztą być inne z kraju, w którym nie ma prawie żadnych środków komunikacyjnych. Wszyscy korespondenci pism przebywają obecnie w Kandaharze, mieście, leżącym niemal tuż nad południową granicą afgańską i o sytuacji wewnątrz kraju otrzymują wiadomości drogą zupełnie niepewną.

Obecnie, wedle tych wiadomości, Kabul jest w posiadaniu Habibullaha, wodza szczepów północnych, który obwołał się królem afgańskim. Amanullah znajduje się w Kandaharze i gromadzi wojska w celu zaatakowania Habibullaha.

W ostatnich dniach z Kabulu ewakuowali się (przy pomocy samolotów angielskich) wszyscy europejczycy.

W dniu 27 lutego nadeszły z Kandaharu wiadomości, jakoby w nastrojach Afganów miał nastąpić zwrot na korzyść Amanullaha.

Inna natomiast jest sprawa, jeśli chodzi o Chiny, kolosa o półmiliardowej ludności, którego wpływ na stosunki światowe może stać się nieobliczalny.

Wszystko to, co dzieje się w krainie Żółtego Smoka, opinia Europy śledzić musi z wyjątkową uwagą, tembardziej, że Komintern wciąż podejmuje starania, aby zrewoltować Chiny i rzucić miliony żółtych rewolucjonistów na zachód i południe.

Ostatnie depesze donoszą, że w kotle chińskim, w którym już niby nastąpiło wyklarowanie się sytuacji w tym sensie, że rząd nacjonalistyczny utrzymał się przy władzy — znowu wybuchły zamieszki przeciw rządowe.

Bliższych szczegółów narazie brak lub są niepewne.

Na horyzoncie polskim zarysowało się ostatnio kilka spraw pierwszorzędnej wagi.

Do najważniejszych zaliczyć należy uchwalenie obecnemu Rządowi budżetu przez Sejm oraz sprawę zmiany Konstytucji.

Niezmiernie ciekawe i charakterystyczne było ustosunkowanie się stronnictw do budżetu — a co za tem idzie i do polityki Rządu.

Ustosunkowaniu temu stronnictwa dały wyraz w ciągu dyskusji nad budżetem i zwłaszcza w deklaracjach, jakie składano przed głosowaniem.

B. B. nie złożył żadnej deklaracji, co się tłumaczy tem, iż jako stronnictwo współpracy z Rządem z istoty rzeczy odnosi się do polityki Rządu z uznaniem.



Chwile podpisania aktu przywrócenia Państwa Kościelnego w pałacu laterańskim.

Deklaracje oświadczające się za budżetem złożyły następujące stronnictwa.

Prez. Chaciński, w imieniu stronnictwa Chrześ. Demokracji oświadczył, iż stronnictwo ma wprowadzić zastrzeżenia co do polityki rządowej, uznaje jednak uchwalenie budżetu za konieczność państwową.

Pos. Roguszczyk, imieniem NPR. również wyraził opinię, iż ma szereg zastrzeżeń w stosunku do Rządu. Niemniej jednak zapowiedział głosowanie za budżetem, z powodu, że nie czas obecnie na wywoływanie konfliktów.

Wyzwolenie zarzuciło Rządowi niedostateczne popieranie interesów chłopskich i uniemożliwianie Sejmowi korzystania z jego praw budżetowych. Oświadczyło się jednak za budżetem, ponieważ klub sejmowy tego stronnictwa zamierza postawić w stan oskarżenia p. Ministra Skarbu za przekroczenia budżetu na r. 1927—28 i pragnie zachować sobie moralne prawo występowania w roli oskarżyciela.

Głosowanie przeciw budżetowi z powodu braku zaufania do Rządu zapowiedział imieniem Str. Chłopskiego p. Dąbski oraz imieniem żydów p. Grynbaum.

Inne kluby mniejszościowe, aczkolwiek nie składały oświadczeń, również głosowały przeciwko przyjęciu budżetu.

Wstrzymały się od głosowania kluby PPS., Klub Narodowy oraz P.S.L. Piast.

P. Niedziałkowski, imieniem PPS. zarzucał Rządowi przekroczenia budżetowe. Wstrzymanie się od głosowania motywował tem, że klub jego za istotną płaszczyznę rozgrywki z Rządem uważa nie budżet, ale zmianę Konstytucji.

P. Zwierzyński, w imieniu Zw. Ludowo-Narodowego zarzucił Rządowi brak planowości oraz nierespektowanie Sejmu w sprawie przekroczeń budżetowych. Tak samo uzasadnił stanowisko P.S.L. Piast p. Dąbski.

W głosowaniu budżet został większością głosów przyjęty. Obecnie budżet dyskutowany jest w Senacie.

Drugim ważnym momentem, jak zaznaczyliśmy wyżej jest rozprawa konstytucyjna w Sejmie, jaka odbywa się obecnie.

Dotąd jedyny projekt zmiany Konstytucji zgłosił B. B.

Istota tego projektu polega na wzmocnieniu władzy Prezydenta (wybieranego przez plebiscyt), i władzy wykonawczej na niekorzyść Sejmu, co się przejawia w zniesieniu odpowie-

działności politycznej ministrów przed Sejmem, a przekazaniu tych praw Prezydentowi. Projekt B. B. pozatem przewiduje wzmocnienie praw Senatu, oraz szeregu innych zmian, mniejszej doniosłości. Narazie trudno jest wnioskować o losach tego projektu.

Najostrzejszą wszakże krytykę jego przeprowadza Klub Narodowy oraz PPS.

Należy również podkreślić, że w głosowaniu nad budżetem przywrócono skreślone w pierwszych czytaniach sumy na cele katolickie, zresztą drobne (40 tys. zł. subsydjum dla Uniwersytetu Lubelskiego oraz 147 tys., zagwarantowanych duchowieństwu na mocy Konkordatu).

Skreśleń tych dokonano na wniosek PPS. i Wyzwolenia.

W głosowaniu skreślone sumy jednak przywrócono, dzięki poparciu rządowego odłamu PPS. (frakcja) oraz katolickich mniejszości narodowych.

Mimo, że niniejszy artykuł ma charakter czysto sprawozdawczy — trudno nam jest powstrzymać się od wyrażenia wstydu, jaki czujemy za ludzi mieniących się Polakami, a odmawiających Uniwersytetowi Katolickiemu tego poparcia jakiego udzielają szkołom żydowskim i protestanckim. Szkołom tym bowiem PPS. i Wyzwolenie subsydja (i to znaczne) uchwaliło.

Mniejszości narodowe, uczące socjalistów i wyzwolenców poczucia własnej godności!

Oto przegląd najważniejszych wypadków na czasie.

Obraz ten nie będzie jednak zupełny, jeśli nie wspomnimy o jednym nadzwyczaj dotkliwym i rzadkim zjawisku, jakie obserwujemy tego roku.

Są nim istotnie niebywale, prawdziwie podbiegunowe mrozy, jakimi ścisnęła świat tegoroczna zima. W niektórych okolicach Rzeczypospolitej mrozy dochodziły do 50° C. Od 15-go grudnia do ostatnich dni lutego nie było ani jednego dnia odwilży.

Donoszono nam o takich wypadkach, jak masowe wymarzenie zwierzyny i ptaków polnych. Ze stert zboża wygrzebywano dziesiątki zamrożonych wron, wróbli, trznadli i t. p. ptaków, które pochowały się tam przed zimą.

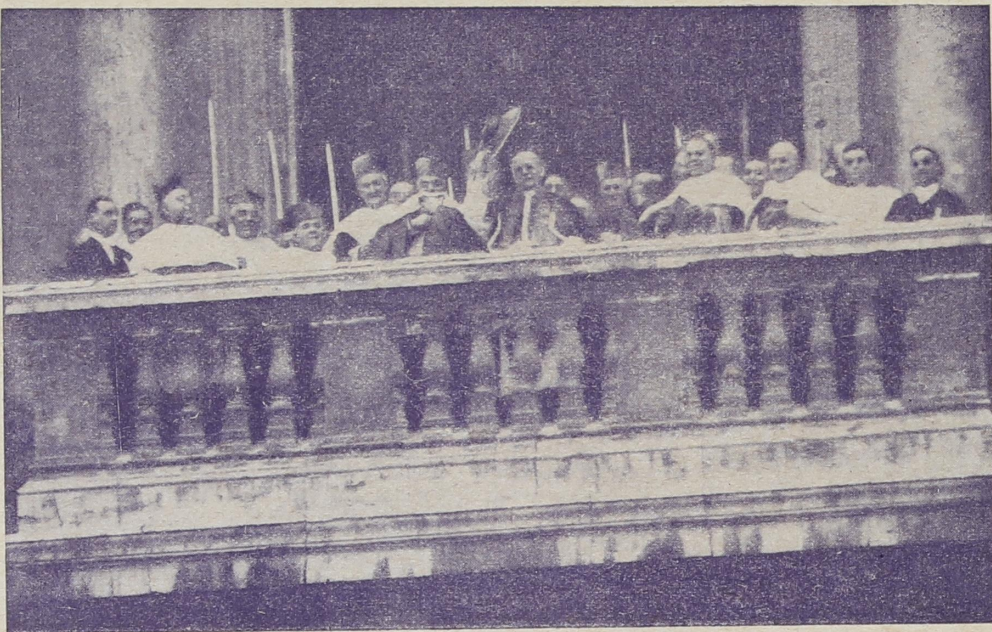
Donoszono nam nawet o wypadkach marznięcia na śmierć bydła w gorzej zabezpieczonych oborach.

Wilki rozzuchwały się tego roku tak, że poczęły pojawiać się w okolicach, w których od dawien dawna już ich nie spotykano.

Podobnie ciężką zimę (aczkolwiek mniej długotrwałą i o mniej srogich mrozach, bo dochodzących „tylko“ do 40° C.) obserwowano w Polsce w r. 1879.

Z lat dawniejszych szczególnie srogą zimę wymieniają kroniki w r. 1599, kiedy to „od pęknięcia drzew w lesie huk było słycać taki, jakoby strzelbę nieustanną“ i również mróz zdziesiątkował płaćstwo polne i zwierzynę.

W najbliższym czasie należy się liczyć poważnie z kłęską powodzi. O ile



Papież Pius XI błogosławi tłumy (patrz fotogr. str. 69).

przyjdą szybko dni ciepłe i nastąpią równocześnie roztopy, skończy się w tym roku na jednej zaledwie kłęsce powodzi. W przeciwnym razie groźna zima, połączona z kłeskami śnieżnymi, w górach, mogłaby jeszcze po raz drugi przypomnieć się pamięci mieszkańców okolic nadbrzeżnych nad rzekami i większymi strumieniami. Przeciwno tej kłęsce powodzi poczynione są wszakże zabiegliwe zarządzenia zarówno ze strony Rządu, jakoteż władz komunalnych. Jest zatem nadzieja, że może rozmiary kłęski dadzą się zredukować do niewielkich rozmiarów.

W atmosferze czuć wiosnę. Niedawno w czasie nawet znacznych mrozów sygnalizowano przyłot pierwszej — zdaje się — gromadki bocianów na polskie Pomorze. Nie ułękły się zimy i pierwsze przyleciały do nas — zwiastuny ciepła i wiosny.

Juljan Babiński.



Uczestnicy uroczystej akademii papieskiej w Warszawie.



WYCHOWUJ DZIECKO SAMĄ.

ROZDZIAŁ II.

Nauka czytania i pisania w przedszkolach. Przygotowanie dziecka do pierwszej pracy umysłowej. Normowanie jej w zależności od rodzaju budzącej się umysłowości dziecka. Kontrola nauki przedszkolnej.

Matka pracująca rzadko kiedy może sobie pozwolić na przyjemność prowadzenia samej pierwszej nauki dziecka, gdyż godziny ranne, najodpowiedniejsze do pracy, są przez jej własną pochłonięte. Może mu ją natomiast ułatwić, przygotowując stopniowo umysł jego do nabycia tych pierwszych koniecznych wiadomości.

Nie chodzi mi o tak zwane metodyczne pogadanki, na które może matce zbraknąć czasu, zresztą w odpowiednich kompletach, lub dobrze prowadzonych przedszkolach, dziecko może z równą korzyścią ich słuchać, ale o pewne *zapoczątkowanie pracy myślowej dziecinnej umysłu*. W wolnych chwilach, w czasie spacerów np., niech matka uczy je patrzeć, spostrzegać i rozumieć, to co je otacza. Nie tak, jak to robiła w 2-gim, 3-cim roku jego życia — piastunka, nazywając otaczające go przedmioty, ale z dodaniem objaśnienia ich właściwości, nawet opowiadaniem i tłumaczeniem najłatwiejszych zjawisk przyrody. Wszelkie przyswajanie nowych pojęć, usiłowania ich zapamiętania, zmuszają do małej wprawdzie, ale odpowiedniej dla dziecinnej pracy umysłowej i są jakby przygotowaniem czyli przeorywaniem gleby pod przyszły zasiew ziarna pierwszej nauki.

Naturalnie, że kontrola tego rodzaju pierwocin pracy musi być bardzo baczna, by nie dawała ujemnych wyników czyli zbytniego rozwijania umysłu.

Rodzaj zaś i sposób podawania dziecku tych pierwszych wiadomości winien być zależnym od rodzaju umysłowości dziecka, który np. w 5-tym, 6-tym roku zaczyna się już zarysowywać zupełnie wyraźnie. Dziecko, zdradzające zaczątki bogatej i bujnej wyobraźni, nie należy zbytnio karmić opowiadaniem bajek, a przeciwnie, starać się je przyzwyczajać do skupienia uwagi na otaczające go życie: zwierzęta, rośliny, domy i t. d., opowiadając o ich zwyczajach, rośnięciu, sposobie hodowania i budowania; pobudzać natomiast fantazję, wprowadzając w krainę noezji baśniowej wtedy, gdy brak jej zupełny zauważyć się daje.

Są to początki małej budzenia myśli dziecięcej, a jednak w skutkach swych niezmiernie cenne.

Błędnem mi się bowiem wydaje zdanie, często powtarzane, że do czasu zaczęcia obowiązkowej nauki

rozwój jedynie fizyczny dziecka trzeba mieć na uwadze. Że ten ostatni jest rzeczą niezmiernie ważną, to rzecz naturalna i baczne oko matki musi śledzić nieprzerwanie, czy jest zupełnie prawidłowy, i zapobiegać celowo najmniejszym jego odchyleniom.

Lecz z drugiej strony pierwsza nauka czytania i pisanie, rachunków, pomimo wszelkich udoskonalonych metod pedagogicznych nowoczesnych, nie przestaje być rzeczą trudną.

Wymaga bowiem i wysiłku pamięci i ześrodkowania uwagi i wreszcie przyzwyczajenia do zachowywania spokoju, choćby w przeciągu najmniej 20 minut i to nieprzerwanie. Jakże się ułatwia niezmiernie dziecku wszystkie te wysiłki, gdy to ma już nabyte przedtem, kolejno, a niepostrzeżenie, bo wśród zabawy nawet. Jak np. łatwo przyzwyczaić dziecko nawet najwięcej żywego usposobienia do zachowywania spokoju w przeciągu jakiegoś określonego czasu codziennie, obmyślając mu zabawę, wymagającą takiego opanowania ruchów: nawleknięcie kulek, przebieranie kolorowej fasolki i t. p. Tak samo miłą i ciekawą rozrywką winny być „rozmówki z mateczką“, czy te serdeczne, wieczorne, o których przedtem mówiłam, z pięcioletniem już dzieckiem, czy też podczas zabawy, czy spaceru o rzeczach ciekawych, a nowych traktujące. Ześrodkowanie uwagi, gimnastyka pamięci — wszystko tam się zawiera i nabyte zostanie.

Inna rzecz, czy owa zapracowana mateczka znaleźć czas na to może? *Może i musi*, znów powtórzę, jeżeli chce zadzierzgnąć mocną nić wpływu swego na duszę własnego dziecka, na długie, długie lata, bo przy największej nawet pracy, są wśród dnia godziny wolne, z których niewiele czasu użyć trzeba na swego rodzaju małe początki pracy nad dzieckiem. Zwolennikom zaś teorii zostawiania dzieci aż do czasu przepisanej na naukę w stadium tylko zdrowego i rozbrykanego swobodnie zwierzątka, odpowiedzieć mogę, że pomijając nawet słuszność, czy niesłuszność podobnej zasady, wszelkie próby zastosowania jej w życiu wykazać muszą, jak dalece ona jest utopijną. W warunkach mieszkaniowych naszej inteligencji pracującej, zwłaszcza w rodzinach, gdzie dla utrzymania bytu rodziny, nie tylko ojciec, ale i matka pracować musi, posiadanie osobnego dziecinnej pokoju, aczkolwiek bardzo potrzebne, jednak bywa już marzeniem niedościgłym i siłą konieczności ogranicza się częstokroć do części dla dziecka zarezerwowanej.

Przy umiejętnej i troskliwej opiece matki można tam zachować i czystość i higienę i nawet pewną estetykę otoczenia, co również ma znaczenie dla rozwoju zamięłowań dziecka w tym kierunku, ale nie można tak, jak to ma miejsce w idealnych „misezy“ angielskich odgrodzić w zupełności życie dziecka od zetknięcia się z życiem ludzi dorosłych, ciekawego, a chaotycznego chwytania ich rozmów i pojęć, czyli tem samem już istnienia pewnej pracy myślowej.

Uciecie jej więc przez matkę w odpowiednim stopniu i kierunku dla jego umysłu nie będzie dlań szkodliwym, przeciwnie — swego rodzaju odciażeniem jego spostrzegawczości i *naturalnej pojemności*, skierowaniem jej tym sposobem w stronę rzeczy dlań dostępnych i pożytecznych.

Nie mówiąc już o tem, że o ileż łatwiej kielkować będą pierwsze ziarna nauki w roli tak przez nią przeoranej i uprawionej starannie, a bez szkody samej dla jego fizycznego rozwoju.

Po zaczęciu już nauki w kompletach, czy przedszkolach, która dziecku tak do niej przystosowanemu trudna wcale nie będzie, matce pozostanie już tylko kontrola — fizyczna naturalnie, co do jego zdrowia w odmiennych trochę warunkach początkowej pracy i — moralna.

Krótką gawędką z dzieckiem po jego powrocie, wystarczy jej w zupełności, by zdać sobie mogła sprawę dokładnie, czem nasiąkała przez czas ten wrażliwa i podatna dusza jej dziecka, jakie nowe pojęcia obiał jego umysł i jak to wszystko należy przeszlifować przez złotą siatkę z promieni miłości i świadomej myśli macierzyńskiej utkanej, co od kolebki chroni jego życie.

Mając zaś już pewnie ułożone zreby jego do siebie stosunku, z ufnością może po upływie paru lat przejść do drugiego okresu życia dziecka z poważniejszym przestąpieniem przezeń progów rodzinnego domu dla pójścia do szkoły.

Zofja Grzymalowska.

KOBIETY DZISIEJSZE.

Stary dwór. Pamiątki, prawie relikwie dla serc. Dorobek pokoleń i dobre imię zdobyte w służbie dla Ojczyzny.

Ze starego portretu rodzinnego patrzą czujnie oczy Dziadów na pracę swych zastępców. Błogosławi stara Babka, której pamięć ze czcią przechowana, wnuczkę, co idzie, chwilowo, w świat zdobywać wiedzę.

Błogosławi Ojciec syna, co trwa na zagonie i wytrwa.

Szczęście, trud, ale spokój i cisza gości w ścianach własnego domostwa.

Wtem zrywa się zawie-rucha. Czerń barbarzyńska idzie ławą. Nieświadoma zbrodni, jaką pełni, nie umiejąca ciągnąć korzyści z łupów, które grabi. Bezmyślna. Idzie na pasku „szatanów, które tam czynne“. Rozbija, depce, plugawi, co święte było. Podkłada żagwie płonące, nieci pożary, równa z ziemią pokoleń dobytki. Wszystko ukochane, niezapomniane.

I oto gniazdo zniszczone, ale bez zagłady. Oto, wylatują z niego z życiem młode ptaki. Oto mają du-

sze przepełnione miłością tego, co było, co jest i będzie. Ani hart, ani wola, nie obce tym potomkom starych rodzin na wresach. Któż, jak nie ich przodkowie, zapuszczali zawsze czujne oko w rozległe zagony i śledzili gdzie go odpierać trzeba od progu Rzeczypospolitej.

Któż jak nie polskie kresowe kobiety umiały szanować domostwa strzec pilnie, gdy męża na polach harcowali z nieprzyjacielem.

Cały okres powojenny był obrazem siły charakterów tych, co wyrzuceni z gniazd, nie łamali się, nie gięli, nie prosili i nie skarżyli się. Wszyscy kresowcy i mężczyźni i kobiety podjęli pracę — jaka się znalazła i bez narzekań spełniali obowiązki trwania dla tych Świętości, „które trza, żeby święte były“.

Dlatego to dziś dajemy naszym Czytelniczkom sylwetkę młodej panny, ze starego dworu i złupionych przez bolszewicką nawałę zagonów, aby oceniły, ile może siła charakteru, mimo wszystko, „radość życia“ i wynikające stąd postanowienie pochodzenia „w rzędzie tych, co budują Polskę Chrystusową“.

L. Kotarbińska.



Halina Doria Dernałowicz.

HALINA DORIA DERNAŁOWICZ.

Urodzona w październiku 1896 roku w Rohiniu, rodowym majątku w ziemi Mohyłowskiej na Białej Rusi. Do roku 14-go życia uczyła się w domu, potem w Krakowie, na pensji p. Strazyńskiej, którą ukończyła z odznaczeniem w 1914 roku.

Od 11-go roku życia uczyła dzieci służby folwarcznej i dworskiej, podczas wakacji poświęcając stałe temu ranki. Wybuch wojny przeszkadza jej w wyjeździe na dalsze studia.

Lata 1915 i 1916 spędza na wsi w domu, ucząc się głównie języków obcych (angielski, francuski) i zakłada dla dzieci służby i uciekinierów z Królestwa 3-oddziałową szkołę, do której uczęszcza około 50 dzieci. Szkołę prowadzi sama z pomocą ochroniarki. W r. 1917 wyjeżdża do Kijowa, gdzie uczęszcza do polskiego Kolegium Uniwersyteckiego na wydział literacko-filozoficzny. Nauka przerywana jest walkami bolszewicko - ukraińskimi, bombardowaniem miasta, ciężkimi przejęciami.

Po powrocie do Polski jesienią roku 1918 — pierwszy rok spędza na kuracji w Krynicy i Zakopanem, następny w Siedleckim w majątku Repki, gdzie zakłada Stowarzyszenie dla Dziewcząt Wiejskich i prowadzi kursy wieczorowe dla młodzieży folwarcznej.

Od 1920 roku zamieszkuje w Warszawie. W 1922 roku kończy trzy miesięczny Kurs Społeczny, organizowany przez Amerykanki i odbywa praktykę w klubach dziewczęcych na ulicy Szarej Nr. 1 i na letnisku dla kobiet pracujących w Sadownem. Amerykanki opuszczają Polskę, działalność ich prowadzi dalej Polskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet, z ramienia które-

go obejmuje kierownictwo klubami i prowadzi kilka grup dziewcząt, pracujących w przemyśle i handlu, i jedną urzędniczek.

Przez kilka tygodni zastępuje Naczelną Kierowniczkę na letnisku „Błękit” w Rybieniu nad Bugiem. W roku 1923 zostaje wybraną Przewodniczącą Młodych Ziemianek i pozostaje na tem stanowisku przez dwa lata, rozwijając działalność Koła, tworząc nowe Sekcje.

W 1925 r. wyjeżdża do Wyższego Instytutu Gospodarstwa Rolnego w Lacken pod Bruksellą, gdzie w przeciągu roku przechodzi kurs dwuletni, zając wszystkie egzamina teoretyczne i otrzymując świadectwo z odznaczeniem (grande distinction).

W maju 1926 r. w Luksemburgu, na Zjeździe ustawodawczym Sekcji Młodych przy Międzynarodowej Unji Katolickich Związków Kobiecych wybraną zostaje do Zarządu Międzynarodowego łącznie z przedstawicielkami Belgii, Francji, Włoch, Austrii i Niemiec. W tymże roku jesienią wyjeżdża do Paryża na wyższe studia społeczne i dla zapoznania się z działalnością Stowarzyszeń Młodzieży katolickiej.

Od roku 1926 bierze czynny udział w ruchu międzynarodowym, uczestnicząc w obradach Zarządu Młodej Unji, kongresów społecznych, rolniczych i gospodarczych, wygłaszając referaty, głównie na temat, działalności i ideologii organizacji społecznych młodzieży w Polsce. W 1927 r. wybraną zostaje ponownie na Przewodniczącą Młodych Ziemianek i pozostaje nadal na tem stanowisku, jak również w Zarządzie Młodej Unji Międzynarodowej.

L. K.

KOBIETA A UNARODOWIENIE HANDLU.

Może najmniej mówi się u nas o doniosłym znaczeniu i roli, jaką kobieta w unarodowieniu handlu odegrać może i powinna. Wogóle całe masy ludzi nie pojmują jeszcze, jak złotem jabłkiem jest handel, ile placówek pracy zyskalibyśmy w kraju, biorąc się do niego, o ile zmniejszyłaby się emigracja nasza zagranicę, gdybyśmy tu u siebie mieli miasta i miasteczka polskie, nie żydowskie.

Kobieta może zdziałać w tym kierunku bardzo wiele. Ona głównie czyni zakupy, lub poleca je czynić służbie. Ona wpływa na dzieci, a więc może im przedstawić obowiązek popierania sklepów tylko polskich.

Kobieta wreszcie, tak samodzielnie obecnie stojąca, może posiadać pewną ilość gotówki, zakładać najrozmaitsze placówki handlowe. Sama znajdzie wtedy byt pewny i drugim da zarobek.

Pole działania tu niezmiernie szerokie. W samej stolicy, w milionowej Warszawie, wyłącznie żydzi wyrabiają paski i daszki do czapek. Osoby, popierające rozwój czapnictwa polskiego na prowincji, skarżą się na to, że po dodatki do czapek zawsze w Warszawie do żydów chodzić muszą. Podobnie rzecz się ma z ozdobami i przybraniami do kapeluszy. Wyrabiają je lub sprowadzają z zagranicy żydzi i dostarczają większym magazynom.

To jeden z wielu przykładów.

Spójrzmy teraz poza Warszawę. Przerazenie nas ogarnie, gdy przekonamy się, że prawie w każdym miasteczku materiałami bławatnemi handlują wyłącznie żydzi.. Czyż nie odpowiednia to dziedzina pracy dla kobiet, daleko lepiej z działem bławatu obeznanych od mężczyzn. Ile na tem zarobić można, najlepiej dowodzi świetny rozwój sklepu z powyższym towarem Małgorzaty Hoyerówny w Puławach.

Znaczna ilość kobiet kształci się na ogrodniczki. Czemu nie słyhać zupełnie, aby dzierżawiły sady włościańskie, zajmowały się sprzedażą i suszeniem owoców? W Lubelskiem, pod Końskowolą i Kazimierzem nad Wisłą całe wsie pełne rodzin żydowskich, które majątki na polskim owocu zarabiają.

Dla zysku lub przyjemności dużo kobiet zajmuje się fotografowaniem. Czemu mimo to na prowincji lwia część zakładów fotograficznych jest własnością „mniejszości narodowej”? Czemu w tak uczęszczanej miejscowości kuracyjnej, jaką jest Truskawiec, fotografuje przyjezdnych Izraelita i napewno świetne interesa na tem robi? Czy Polak, a przedewszystkiem Polka, nie powinnyby wyzyskać tego źródła pracy?

Tak samo jest z zegarmistrzostwem. Kobieta ręka nadaje się chyba najzupełniej do tego fachu.

Były podczas wojny doskonale zorganizowane kursy zegarmistrzostwa dla kobiet przez pp. Weychert

Helene i Zaborowską Helenę, ale nie słyszymy nic o ich rezultatach.

Czy nie można założyć nowych, zbadawszy wpierw przyczynę niepowodzenia poprzednich. Jako przykład braku zegarmistrzów-Polaków niech służy miasto Koło nad Wartą, które od lat 7miu stara się napróżno o chrześcijanina tego fachu.

Nie z handlem, a z medycyną wiąże się zawód dentystki i akuszerki. Jeden i drugi jest zyskowny, ale nie my czerpiemy dochód z niego. Po małych miastach trudnią się nim prawie same, często niezbyt czyste, żydówki... Tę gałąź powinny kobiety starać się jaknaj-

prędzej ująć w swoje ręce, zważywszy na wpływ, jaki akuszerka na środowisko, w którym przebywa, wywrzeć może, wpajając w nie zasady czystości, umiejętnego pielęgnowania noworodków i t. d.

Pobieżny ten rzut oka nie wyczerpuje wszystkich dziedzin życia, wskazuje zaledwie najważniejsze, które we władanie Polaków przejść powinny.

Jako przykład, że w tym kierunku pracować możemy i umiemy, niech służy Wielkopolska, jedyna z ziem naszych, która posiada swoje, rodzime mieszczaństwo, a co za tem idzie: czyste, kulturalne, zamożne osady i miasteczka. *Zojja Findeisenówna.*

PRZESZKOLENIE MATEK.

Nie trzeba udowadniać chyba, że wychowanie dzieci wymaga odpowiedniego przygotowania wychowawców do tego zadania. Aż nadto dotkliwie odczuwają rodzice nieraz popełnione błędy. Dotychczas jednak nie mieliśmy zorganizowanej „nauki macierzyństwa”, choć już nowoczesna pedagogika z całym naciskiem podkreśla, że „wychowanie zaczyna się nieomal od dnia narodzin, gdyż okres niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa wywiera często wpływ na przyzwyczajenie całego życia”. Jednakowo ważnymi są wszystkie okresy życia dziecka, a okres przed urodzeniem — zależny całkowicie od rodziców — również posiada ogromne znaczenie. Można przytem śmiało powiedzieć, że dawniej na ten okres większą zwracano uwagę, niż obecnie. Zdrowie fizyczne, nastrój, życie moralne i umysłowe rodziców, ich otoczenie — wszystko ma wówczas swój niewidoczny wpływ na kształtujący się organizm maleństwa. Lekarze żądają przecież z całym umotywowaniem nie tylko doboru ludzi zdrowych fizycznie, nie obciążonych dziedzicznymi chorobami, ale i pełnych miłości dla siebie wzajemnie i dla mającego się narodzić dziecka, ale i otoczenia matki warunkami dającymi całkowity spokój, uczucie harmonii, wrażenia estetyczne wzrokowe i słuchowe. Jest to ideał, od którego jesteśmy bardzo daleko obecnie. W mocy każdego leży jednak choćby częściowe zadośćuczynienie obowiązkom, jaki na rodziców nakłada danie życia nowej istocie, choćby przez uczynienia możliwie wszystkiego, na co pozwalają warunki bytu i otoczenia, by dziecku dać możliwie najlepsze warunki rozwoju. Przedewszystkiem matki winny dokładnie zaznajomić się z „nauką

o dziecku”, zrozumieć jego potrzeby, drogę jaką przebywać będzie kształtowanie się jego organizmu i jego władz duchowych.

W tym zakresie przybywa nam w roku bież. z pomocą nowa instytucja: powstała z inicjatywy p. Marji Olszewskiej przy Polskim Twie. Eugenicznem „kursa szkolenia matek”. Odbywać się one będą przy współudziale najlepszych wykładowców, lekarzy i pedagogów, którzy z całą starannością ułożyli ich program.

Najlepsze pojęcie o zakresie kursów da przytoczenie go w całości, co czynimy poniżej. Ze względu na różnolity poziom umysłowy słuchaczek, przewidziane jest poprowadzenie 2 kursów równoległych: wyższego — dla kobiet z wykształceniem co najmniej pełnej szkoły powszechnej i — niższego — dla kobiet bez żadnego wykształcenia. Wykłady rozpoczęte dnia 4 lutego odbywają się w siedzibie Pol. Iwa Eugenicznego w Warszawie — Nowy Świat 1 w godz. 5-7. Kurs wyższy w poniedziałki, środy, czwartki i soboty, kurs niższy — we wtorki i piątki. Z wykładów sporządzane są tak zwane „skrypta”, które osoby, nie mogące uczęszczać na kursa, mogą nabywać dla zapoznania się z ich treścią. Słuchaczki zwiedzać będą zakłady opieki społecznej nad dziećmi i praktykować parę godzin w żłobku.

Inicjatywa ta znajdzie niewątpliwie szerokie uznanie i stanie się wzorem do naśladowania w miastach prowincjonalnych, gdzie organizacje kobiece w porozumieniu z „osrodkami zarowia” czy placówkami „Iwa Kropla Mleka” winny wziąć w swoje ręce tę tak potrzebną akcję.

PROGRAM PRZESZKOLENIA.

KURS WYŻSZY.

Eugenika. 1) Eugenika i higiena rasy (3 wykl.), 2) Embriologia (2 wykl.), 3) Dziedziczność i poczucie odpowiedzialności wobec dziecka (5 wykl.).

Higiena. 1) Higiena, jako czynnik dobrobytu społecznego. Higiena osobnicza: czynności narządów ustroju ludzkiego wraz z higieną oddychania, odżywiania, pracy mechanicznej, umysłu. Wpływ alkoholu na organizm. Higiena skóry i hartowanie. Odzież i obuwie (8 wykładów), 2) Choroby zakaźne. Rola drobnoustrojów w przyrodzie. Bakterje chorobotwórcze. Pojęcie o chorobie zakaźnej. Oporność. Odporność nabyta. Drogi szerzenia się chorób. Metody i środki zwalczania. Poszczególne pospolite choroby zakaźne. Gruźlica, jako zło społeczne. Walka z gruźlicą w Polsce (4 wykłady), 3) Higiena publiczna.

Siedziba, gleba, budynek mieszkalny, oświetlenie, ogrzewanie, przewietrzanie, zaopatrzenie w wodę, usuwanie nieczystości. Higiena miast. Miasta i ogrody (4 wykl. — Razem 16 wykl.). 4) Higiena kobiety i macierzyństwa oraz walka z rakiem (wykl. 15), 5) Higiena dziecka i pielęgnowanie niemowląt (wykl. 21) oraz zajęcia praktyczne, 6) Katownictwo (2 wykl.), 7) O potrzebie ćwiczeń cielesnych z punktu widzenia anatomicznego i fizjologicznego (wykl. 4), 8) Przystosowanie praktyczne ćwiczeń cielesnych (6 godz.).

Pedagogika. 1) Nauka o dziecku od urodzenia do lat 7. Ruchliwość dziecka, uczucia i instynkty, zainteresowania oraz znaczenie i poszanowanie wieku dziecięcego (wykl. 10), 2) Planowość wychowania. Rozwój uczuć i wpływ wychowawczy na

ich rozwijanie. Jak dom może wpłynąć na rozwój umysłu dziecka. Wdrażanie dziecka do pracy systematycznej. Rozrywki dziecka poza domem. Poszanowanie samodzielności dziecka. Dziecko w domu i na ulicy (wykl. 12), 3) Sugestia w życiu dziecka. Przykład i przyzwyczajenie. Wyobrażenia i twórczość dziecka. Zabawy i zabawki wieku dziecięcego. Książki i pisma dla dzieci do lat 7. Książki i pisma dla matek (wykl. 10), 4) Rozwój uczuć moralnych i religijnych oraz wpływ wychowania na ich ukształtowanie (wykl. 3), 5) Dziecko i jego otoczenie. Dzieci nerwowe, trudne do prowadzenia i oddziaływanie

wychowawcze na nerwowość dziecka (wykl. 10), 6) O wychowaniu dziecka w wieku przedszkolnym i młodzieńczym (3 wykl.), 7) Dziecko anormalne (wykl. 5), 8) Gry, zabawy i zabawki — (zajęć praktycznych 10 godzin), 9) O znaczeniu przedszkoli (wykl. 2).

Opieka społeczna, samorządowa i prawna nad matką i dzieckiem: 1) O opiece społecznej nad matką i dzieckiem (2 wykl.), 2) Opieka samorządowa i znaczenie ośrodków zdrowia (2 wykl.), 3) Ustawodawstwo, dotyczące dziecka i ochrony macierzyństwa (wykl. 6).

KURS NIŻSZY.

1) Embrjologia (1 wykl.), 2) Higiena ogólna, higiena kobiecy i macierzyństwa, higiena dziecka (18 wykl.), 3) Pielęgnowanie niemowląt (zajęcia praktyczne w żłobku grupami po 5 matek), 4) Ratownictwo (2 wykl.), 5) Etapy rozwoju psychicznego u dzieci. Niemowlęstwo. Okres przedszkolny, szkolny i młodzieńczy (wykl. 10), 6) Dziecko i jego otoczenie (wykl. 5), 7) Metody postępowania z dzieckiem. Przykład, przyzwyczajenie, sugestia, wyobrażenia, kształtowanie uczuć (wykl. 5),

8) Wpływ wychowania na rozwój uczuć moralnych i religijnych u dzieci (wykl. 4), 9) Gry, zabawy i zabawki (wykl. 8), 10) Znaczenie przedszkoli (wykl. 2), 11) O opiece społecznej nad matką i dzieckiem (wykl. 2), 12) Opieka samorządowa, zwalczanie chorób zakaźnych i znaczenie ośrodków zdrowia (wykl. 2), 13) Ustawodawstwo, dotyczące dziecka i ochrony macierzyństwa (wykl. 8).

Z. Z.

WIOSNA SIĘ ZBLIŻA.

Wiosna się zbliża, wiosna nadchodząca jak zwykle u nas nagle i niespodzianie. Wczoraj jeszcze był mróz, a nazajutrz okazuje się, że, pod stopionym w promieniach wiosennego słońca śniegiem, kielkuje już młoda trawa. I płaszczyki zimowe naszych córek okażą się naraz za ciężkie i za ciepłe, i młode słońce wiosenne ujawni z właściwą sobie niedyskrecją wszystkie przykre szczegóły zdradzające ich podniszczenie.

Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy musiały co wiosna sprzątać sobie i naszym pannom kompletną garderobę. Chodzi tylko o to, aby o zbliżającej się wiosnie pomyśleć zawczasu, żeby się do niej odpowiednio przygotować. Zajrzyjmy w głąb szafy i na dno wielkiego kufra, gdzie odbywają dobrze zasłuszony sen zimowy palta i kostjumy wiosenne.

Jeżeli, jak radziłam w jesieni, odbyły przed odejściem na spoczynek kurację odmładzającą w chemicznej pralni, wystarczy po wyjęciu, dać się im odwinąć na wieszaku, a potem starannie uprasować przez zwilżoną szmatkę. Jeżeli nie, trzeba je teraz odesłać jaknajprędzej do chemicznej pralni, bo lada dzień może być za późno. Płaszcz zimowy może i wiosną porą służyć na ulicy, o ile mu się poświęci sporo czasu i uwagi. Trzeba zeń wypruć watolinę i podszycić świeżą podszewką, można zresztą zużytkować i dawną podszewkę, starannie ją wyczyściwszy. Z samego płaszczyka należy wywabić wszystkie plamy (w domu, lub w pralni chemicznej) i odprasować go pò krawiecku (z odparzaniem).

W kroju okryć niema żadnych zasadniczych zmian, więc płaszczyk jesienny, czy zimowy może być z powodzeniem noszony i w sezonie wiosennym. Osoby młode lubią różnorodność w ubraniu, otóż wrażenie tej różnorodności można niewielkim kosztem osiągnąć przez zmiany różnych szczegółów ubrania: kapelusza, szalika, torebki i obuwia.

Kapelusze.

Sezon wiosenny przyniósł nam kapelusze filcowe przybrane słomą. Modne są fasoniki spokojne, angielskie, dobrze harmonizujące ze skromnym płaszczykiem na ulicy i kostjumem o kroju angielskim. Dużo widzi się jeszcze obcisłych kalotek bez ronda, lub z fantazyjnym rondem z jednej tylko strony. Charakterystyczną cechą nowych kapeluszy jest to, że coraz bardziej odsłaniają czoło. Moda wiosenna faworyzuje wyraźnie kolory kapeluszy żywe i jaskrawe. Jednakże dla osób nie mogących sobie pozwolić na częstą zmianę kapelusza

zawsze radziłabym kolor czarny, jako harmonizujący z każdą suknią i każdym okryciem. Kapelusz dobrze dobrany do koloru płaszcza wywiera zawsze wrażenie wykuintu i spokojnej elegancji.

Szaliki.

Barwny szalik na szyi mile urozmaica monotonię ciemnego ubrania. Ma też i swoje znaczenie praktyczne: chroni szy-



Przyszła sława narciarska.

ję przed dostępem zimnego, marcowego powietrza, a także i przed tarcie ostrej wełny okrycia, będącego przy skórach bardziej wrażliwych powodem częstych zadrażnień i przykrych wyprysków. Szalik może być zrobiony z miękkiej wełny, jedwabiu lub batystu lnianego. Ten ostatni szczególnie jest miły dla skór delikatnych i doskonale się pierze. Szalik powinien być jasny, aby robił do twarzy i musi być często prany ze względów zarówno estetycznych, jak i higienicznych. Może być przybrany haftem ałaskowym lub malowany znoszącymi pranie farbami, albo też aplikacją. Najładniej i najdystyngowaniej wygląda szalik jednokolorowy, ozdobiony dużym monogramem właścicielki. Szalik można zastąpić wzorzystą chustą-apaszką, która po zdjęciu palta stanowi wdzięczne skompletowanie każdej sukienki.

Obuwie i torebki.

Obuwie na ulicy powinno mieć charakter sportowy, obcas niski, grubą podeszwę i powinno być bardzo wygodne. Za małe pantofelki z cieniuchnej giemy, ustawione na wiecznie wykoszlawionych szcudełkach francuskich obcasików, wyglądają na naszych mokrych trotuarach jak zaprzeczenie nie tylko dobrego smaku i dobrego rozsądku. Najpraktyczniejsze jest obuwie z ciemnobrązowego chromu. Wzorzysta, sportowa pończoszka powinna być nieco jaśniejsza od skóry obuwia, ale nie za jasna. Torebka na ulicy powinna być spora, tak, żeby w niej można było zmieścić i portmonetkę z pieniędzmi, i chustkę do nosa, i list, który mamy wrzucić, i jakieś drobne sprawunki. Ładne i wygodne są torebki w kształcie portfeli. Glansowana skóra na torebki jest praktyczniejsza niż zamś, który się brzydko wyświeca. Well.

ŚWIECONE.

Wczesną mamy w tym roku Wielkanoc. Już dnia 31 marca gospodynie będą musiały gwoili tradycji narodowej zastawić stoły zimnem mięsiwem i ciastami. Daleka jestem od namawiania do zbytku i wielkich występów nad stan, jednak zwyczaj urządzania „Świeconego“ jest tak związany z obyczajem polskim, taki daje radosny nastrój zebranim i co jest szczególnie ważne, pozwoli służbie i samej pani domu odpocząć dni parę lub kilka nawet godzin od prac i zajęć kuchennych, że należy go bezwzględnie zachować. Oczywiście zachować rozsądnie, stosując się do naszych środków i możliwości, nie pozwalając na żadne ekscesy, naruszające równowagę budżetową. Obiady i kolacje świąteczne, gorące byłyby i tak nieco kosztowniejsze od codziennych, a smaczne mazurki i baby zastąpią przez czas dłuższy desery i ciasto kupowane do podwieczorkowej kawy lub herbaty. Należy tylko wszystko potrzebne do tego „Świeconego“ zakupić wczas i wykonać w domu, nie pozostawiając całej pracy na ostatnie dni Wielkiego Tygodnia, aby mieć możliwość wypełnienia obowiązków religijnych i wysłuchania nabożeństw porannych, odwiedzenie grobów, — co jest pięknym obyczajem polskim, którego zapominać nie należy. Podam tu kilka dań łatwych i niekosztownych na stół wielkanocny.

SZYINKA PIECZONA.

Jest znacznie smaczniejsza od szynki gotowanej, gdyż zachowują całą soczystość. Niedużą szynkę (4—5 kg.), gdyż takie są najdelikatniejsze, wymoczyć w zimnej wodzie przez 24 godziny, obetrzeć do sucha i całą zawinąć w ciasto namieszone z dwóch kilo żytniej, razowej mąki i takiej ilości wody, aby można je było rozwałkować cienko. Bardzo starannie załepić ciasto, aby nigdzie nie było otworu, posmarować jeszcze wodą, włożyć na brytfanę i wstawić w dobrze gorący piec na trzy godziny. Po upływie tego czasu szynkę wyjąć z pieca, po pół godzinie chleb cały zdjąć, (zjedzą chętnie psy domowe), skórę z szynki podjąć ostrożnie, zanim nie ostygnie — gdyż potem trudno odstaje, znowu nią przykryć szynkę i wynieść natychmiast na skład, przez co raptownie stygnąc, zachowa całą soczystość. Ubiera się ją i kraje, jak zwykłą szynkę gotową.

OSZCZĘDNY PASZTET.

Kilo i ćwierć dobrej, białej wątróbki cielęcej wymoczyć przez noc w wodzie, ściągnąć z niej skórę, udusić z pięciu dużymi cebulami, trzydziestu deka przeraśniętego boczku i dwudziestu deka słoniny. Dodać pieprzu i ziela w ziarnach, listka, parę gwoździków. Sześćdziesiąt deka kartofli ugotowane w lupinkach obrać, przepuścić trzy razy przez maszynkę wraz

z wątróbką i dodatkami, z którymi się dusiła. Dodać szklankę rosółu mięsnego lub śmietany, sok z cytryny, utartą z niej skórę, gałki muszkatełowej, białego pieprzu, trzy jaja całe, jeśli jest kieliszek wina węgierskiego lub madery, wymieszać doskonale. Formę tortową wyłożyć cienko rozszatkowanym ciastem ugniecionym z pół kilo mąki pszennej, ćwierć kilo szmalcu, łyżeczki soli i wody. Trzecią część ciasta pozostawić na pokrycie pasztetu. Farsz urobić do smaku, napęlić nim formy, przykryć ciastem, zakleić doskonale, posmarować żółtkiem, przekłuć ciasto widelcem w paru miejscach, aby para wychodziła. Wstawić w dobrze rozpalony piec, gdy się zrumieni, ogień zmniejszyć i piec dobrą godzinę. Po wyjęciu z formy zaraz wynieść na chłód, aby prędko zastygł.

BABA SZAFRANOWA.

Zagotować trzy szklanki mleka, gdy przestygnie rozczynić na niem cztery i pół szklanki mąki, łyżeczkę soli i siedem deka drożdży, wybić, dać podrosnąć dobrze. Siedem jaj rozbić do białości z dwoma szklankami cukru, gdy ciasto podejdzie, dodać te jaja, kieliszek szafranu namoczonego w wigilję wieczorem w spirytusie (spora szczyptę suchego), szklankę letniego, sklarowanego masła i wybijać ciasto, aż do rąk odstanie. Gdy gotowe, wsypać piętnaście deka rodzenek, sułtanek, postawić ponownie w cieple. Gdy dobrze podrosnąć przełożyć do dwóch form wysmarowanych masłem i wysypanych bułeczką, dać podrosnąć po raz trzeci i piec w średnio gorącym piecu. Po godzinie popróbować cieniutkim patyczkiem, jeśli ciasto doń nie przylega, baby mają dosyć. Wyjmować z formy ostrożnie, kładąc je bokiem na pokrytą papierem poduszkę. Kto nie lubi szafranu, może wziąć dla aromatyzowania ciasta wanilię, grubych migdałów lub olejku cytrynowego. Można przy mieszanii dodać mąki, gdybyśmy uważali, że ciasto jest zbyt rzadkie. Jednak jeśli mąka jest dobra i sucha, ilość użyta do rozczynu, powinno wystarczyć.

MAZUREK RODZENKOWY.

Czterdzieści deka mąki, czterdzieści deka cukru — pudru, osiem żółtek, dwadzieścia deka masła, parę łyżek gęstej śmietany zgnieść na wolne ciasto. Wsypać czterdzieści deka rodzenek drobnych, czarnych (Koryntek), dziesięć deka słodkich i kilka gorzkich migdałów pokrajanych w cienkie paski, dziesięć deka drobno usiekanej smażonej w cukrze skórki pomarańczowej. Wyrobić wszystko doskonale, rozciągnąć ciasto na grubość palca. Posmarować jajkiem, posypać grubym krzysztalem i krajanymi w paski, słodkimi migdałami. Piec w średnio gorącym piecu, aż się ładnie zrumieni.

Pani Elżbieta.